

ALFRED HITCHCOCK

TAJEMNICA ZŁOTEGO ORŁA

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożył: JAN JACKOWSKI)

Kilka słów Alfreda Hitchcocka

Witam Was znowu, miłośnicy tajemnic i kryminalnych zagadek! I zapraszam do przeżycia jeszcze jednej fantastycznej przygody wraz z Trzema Detektywami. Jeśli nie spotkaliście się z nimi dotąd, powinienem może powiedzieć Wam, że mieszkają oni w kalifornijskim miasteczku Rocky Beach, niedaleko Hollywoodu. Szefem grupy jest Jupiter Jones. Jupe, jak go nazywają jego koledzy, ma nieprawdopodobną pamięć, jest w stanie naprawić każdy zepsuty sprzęt i, praktycznie biorąc, byłby gotów pod względem bystrości umysłu zapędzić w kozi róg samego Einsteina... a przynajmniej jego asystentów. Ma też trochę zbyt imponujący obwód w pasie. Byłoby niegrzecznie określać go jednak mianem grubaska, choć już kiedyś zrobił karierę aktorską w telewizji jako Mały Tłuscioszek. Ale tak naprawdę Jupe byłby więcej niż szczęśliwy, gdyby zdołał zachować tylko dla siebie wspomnienia z tamtego okresu.

Pete Crenshaw, czyli Drugi Detektyw, jest wysokim, mocno zbudowanym chłopakiem, który znakomicie sobie radzi we wszystkich dyscyplinach sportowych, wymagających fizycznej tężyzny. Wpada w lekkie zakłopotanie tylko wtedy, gdy ma do czynienia z rzeczami dziwnymi i trudnymi do wyjaśnienia.

Ostatnim, lecz bynajmniej nie najmniej ważnym członkiem zgranej paczki jest Bob Andrews, skromny, niezbyt wyrośnięty i wyrobiony fizycznie chłopiec, który ma jednak najbardziej ze wszystkich rozwinięty zmysł praktyczności i woli chodzić po ziemi, niż bujać w obłokach. To właśnie on zajmuje się badaniami i analizami, notowaniem postępów w kolejnych dochodzeniach i pisaniem końcowego sprawozdania. Z niecierpliwością wyczekuję zawsze na jego kolejny raport, podsumowujący każdą z detektywistycznych przygód.

Przypadek przedstawiony na kartach niniejszej powieści rozpoczyna się od serii bulwersujących wydarzeń - w całym mieście zaczynają bez żadnego widocznego powodu wylatywać szyby w samochodach. Aby wyjaśnić tę tajemnicę, nasi chłopcy muszą cierpliwie gromadzić obserwacje i wyciągać wnioski z coraz to nowych faktów i okoliczności. Po drodze zmagają się z nieznanymi intruzami, z podsłuchem telefonicznym i podejrzliwością dorosłych. Można powiedzieć też, że podejmują swoje dochodzenie, aby pomóc starszemu od nich koledze szkolnemu, który padł ofiarą fałszywych oskarżeń jeśli nie wprost o wandalizm, to przynajmniej o jakieś sztubackie kręactwa...

Zapraszam więc, abyście się przyłączyli do paczki bystrych i nieustępliwych detektywów i wraz z nimi podjęli przepytwanie zarozumiałych policjantów, tropienie

niewidocznego i nieuchwytnego wandalą, wreszcie urządzenie zasadzki na przebiegłego złodziejaska. Po drodze próbujcie sami znaleźć odpowiedź na kolejne zagadki, zanim jeszcze rozwiąże je Jupiter. Prawdziwe i fałszywe tropy znajdziecie na każdej niemal stronie. Życzę Wam miłej lektury i udanych łowów!

Alfred Hitchcock

ROZDZIAŁ 1

Strzaskane szyby

- Tak, panie Jacobs, to rzeczywiście wygląda dość zagadkowo - ozwał się głos wuja Tytusa.

Pete Crenshaw uniósł głowę i nadstawił uszu. Był lipcowy poniedziałek. Kolejny tydzień wakacji chłopiec rozpoczynał właśnie od prozaicznego pielienia grządki kwiatów, rosnących wzdłuż ściany baraczkę, służącego za biuro Składnicy Złomu Jonesów. Głosy dochodziły z wnętrza budynku.

- Ale nie dla mnie - odpowiedział mu jakiś męski głos, należący prawdopodobnie do pana Jacobsa. - To zwyczajne wyglupy niedowarzonych wyrostków, nic więcej.

Pete wyciągnął szyję, aby nie uronić ani słowa. Jakaś nowa zagadka!

- Gdyby się to zdarzyło raz czy nawet dwa, można by to uznać za zwykły przypadek - ciągnął nieznajomy. - Ale cztery razy? Już po raz czwarty Paul przyjechał od swojego kolegi z rozbitą szybą w kabinie ciężarówki. Powiada, że zostawiał samochód przed domem i szedł do środka, a kiedy wychodził, okno kabiny było roztrzaskane!

- Tak naprawdę było, tatusiu - stanowczo potwierdził chłopięcy głos.

- Daj wreszcie spokój tym bajeczkom, Paul - roześmiał się zgryźliwie mężczyzna. - Ja też byłem kiedyś takim chłopakiem jak ty. Dobrze wiem, jak to jest. Wystarczy, żeby zatrzaskać zbyt mocno drzwi albo żeby któryś z kolegów zaczął za bardzo pajacować koło samochodu, i szyba już leci. Jestem pewien, że próbujesz kryć tego czy owego z przyjaciół, ale nie powinieneś tego robić, bo sprawa jest zbyt poważna.

- Tato! Ja naprawdę nie wiem, w jaki sposób te szyby zostały wybite!

- Dobrze, dobrze, synku - rzekł spokojnym tonem pan Jacobs. - Ale, jak ci zapowiedziałem w ostatnią środę, nie pozwolę ci jeździć ciężarówką, dopóki nie powiesz mi, co naprawdę się wydarzyło.

- Muszę przecież dowozić zaopatrzenie do sklepu - zaprotestował chłopiec, rozpaczliwie próbując przekonać ojca.

- Będiesz nadal zajmował się ładowaniem i rozładowywaniem, no i oczywiście pomagał w sklepie. Ale dopóki nie wróci ci pamięć, ja będę prowadził ciężarówkę.

Jeśli nawet Paul bąknął coś w odpowiedzi, zrobił to zbyt cicho, aby jego słowa mogły dotrzeć do uszu Pete'a. W chwilę potem Pete usłyszał, że otwierają się drzwi kantorku. Puścił się biegiem wokół małego budynekczku i zobaczył wchodzącego na podwórze wysokiego

mężczyznę, na którego twarzy malował się wyraz ponurej determinacji. Idący tuż za nim chłopiec niemal dorównywał mu wzrostem, był jednak bardzo szczupły. Miał bladą, pozbawioną opalenizny twarz, ciemne włosy, zadarty nos i zasmucone piwne oczy. Mężczyzna usiadł za kierownicą szarej, obudowanej furgonetki dostawczej, na której ścianach widniał napis:

“SALON MEBLI UŻYWANYCH JACOBSA”
ROCKY BEACH, KALIFORNIA
KUPNO I SPRZEDAŻ - Z DOSTAWĄ DO DOMU

- Przykro mi, synku - powiedział pan Jacobs - ale musisz wybrać między odpowiedzialnością względem mojej osoby i lojalnością wobec twoich kolegów. Jeżeli chcesz, żebym cię zawiózł do domu, to wsiadaj. Ponieważ krzesła dla pana Jonesa zostały dostarczone, nie będę cię już dziś potrzebował.

- Chyba przejdę się na piechotę - stwierdził markotnie Paul.

- Rób jak chcesz - odparł pan Jacobs, a potem, spojrzawszy z góry na syna, westchnął ciężko i ruszył ku bramie. Na podwórzu stał samotnie Paul, rysujący coś czubkiem buta na piasku i przyglądający się, jak pomocnicy pana Jonesa, Hans i Konrad, ustawiają dopiero co przywiezione krzesła.

- Paul! - krzyknął ukryty za mułem kantorku Pete.

Zaskoczony Paul zaczął rozglądać się niepewnie na wszystkie strony.

- Tutaj! Prędko!

Dojrawszy Pete'a, Paul ruszył w jego stronę. Obaj chłopcy znali się ze szkoły, ale tylko z widzenia. Paul był o kilka lat starszy od Pete'a i chłopaków z jego paczki.

- Jeżeli się nie mylę, nazywasz się Pete Crenshaw? - zapytał Paul.

Pete kiwnął potakująco głową.

- Przykro mi, że twój stary tak się na ciebie wścieka - powiedział współczującym tonem.

Paul westchnął posepnie.

- W dodatku dopiero co dostałem prawo jazdy.

- O rany, to straszne! - Pete'owi nietrudno było wyobrazić sobie, jak by się czuł, gdyby po uzyskaniu wreszcie prawa jazdy nie miał samochodu, którym by mógł sobie pojeździć. - Ale nie jest wykluczone, że będziemy mogli ci pomóc!

- W jaki sposób? - odparł bez entuzjazmu Paul. - I kogo masz na myśli mówiąc “my”?

Pete wyciągnął z kieszonki na piersiach wizytówkę firmy. Paul rzucił na nią okiem i zmarszczył brwi. Zawierała następujące informacje:

<p style="text-align:center">TRZEJ DETEKTYWI Badamy wszystko ??? Pierwszy Detektyw Jupiter Jones Drugi Detektyw Pete Crenshaw Dokumentacja i analizy Bob Andrews</p>
--

Zapoznawszy się z treścią wizytówki, Paul Jacobs kiwnął z uznaniem głową. W jego oczach błysnął nagły promyk nadziei.

- Ej, przypominam sobie, że słyszałem już o was. Być może rzeczywiście będziecie w stanie mi pomóc.

- No to idziemy! - wykrzyknął Pete, któremu w jednej chwili przeszła wszelka myśl o chwastach i nie opielonych grządkach kwiatów. Pociągnął Paula przez podwórze składnicy do miejsca, w którym jego dwaj przyjaciele-detektywi, Jupiter Jones i Bob Andrews, przybijali sztachety w wysokim parkanie. Nieznośny upał sprawiał, że Jupiter postękiwał co chwila z wysiłku, przerywając pracę na odpoczynek i otarcie spoconego czoła po każdym uderzeniu młotka, którego trzonek tkwił niemrawo w jego pulchnej dłoni. Pracujący tuż obok niego Bob wbijał gwoździe jeden po drugim, szczerząc przy tym zęby w szerokim uśmiechu.

- Chyba nic na świecie nie budzi we mnie takiej nienawiści, jak widok wesolutkiego robota - rzucił przez zaciśnięte zęby Jupiter.

- Jupe! Bob! - zawołał Pete, podbiegając wraz z Paulem Jacobsem. - Szykuje się nam nowe śledztwo!

W oczach Jupitera zamigotały wesołe błyski.

- Aha, więc nie ma ani chwili do stracenia! - wykrzyknął idealnie naśladowując angielski akcent Sherlocka Holmesa. - Drogi Watsonie, zanosz się na jeszcze jedno polowanko! Już czuję zapach zwierzyny!

Nieszczęsny młotek w jednej chwili znalazł się na ziemi. Jupiter obrócił się na pięcie i omal nie wpadł na ciocię Matyldę, która w tym właśnie momencie stanęła za jego plecami.

- Możesz sobie czuć, co tylko chcesz, ty obwiesiu - powiedziała - ale płot musi być zreperowany! A co do ciebie, Pete Crenshaw, nie dostałeś ode mnie na szczęście żadnego narzędzia do pielienia, które mógłbyś rzucić na ziemię, żeby się stopiło w tym słońcu! Z powrotem do roboty! A to hultaje! Żaden z was nie przepracował uczciwie nawet godziny!

- A...a...ale - zająknął się Pete. - Właśnie zobaczyłem Paula, któremu...

- Co? Jeszcze jeden! - wykrzyknęła ciocia Jupitera. - Doskonale, mam robotę i dla niego. Masz na imię Paul, młody człowieku?

- T...tak, psze pani - odparł zdeorientowany młodzieniec.

- A więc, Paul, weźmiesz się do...

W tym momencie w drzwiach kantorku ukazał się wuj Tytus, który ruszył przez podwórze w kierunku stojącej przy płocie gromadki.

- Lunch! - zawołał. - Każdy robi kanapkę, na jaką ma chrapkę!

- Jeść! - jęknął Jupiter. - To dlatego pracujemy tak powoli, ciociu. Omdlewamy z głodu.

- Taak, zamorzyło nas na śmierć! - stęknął Pete, chwiejąc się na nogach.

- Umieram z wycieńczenia - szepnął Bob, a potem oparł się plecami o starą lodówkę i powoli osunął się na ziemię

- Mam nadzieję, że starczy mi sił, żeby dowlec się do domu - wymamrotał gasnącym głosem Jupiter, przytrzymując się płotu, aby nie upaść.

Obserwujący całą scenę Paul Jacobs wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Ciocia Matylda oparła ręce na biodrach i obrzuciła chłopców surowym spojrzeniem. Przez dłuższą chwilę przyglądała się z nachmurzoną miną ślaniającym się postaciom, w końcu jednak wybuchnęła śmiechem:

- No dobrze, dobrze, idźcie sobie na lunch. Ale nie myślcie, że wykręcicie się tak łatwo. Zaraz po jedzeniu z powrotem do pracy!

Znalazłszy się w domu po drugiej stronie ulicy, chłopcy zrobili sobie kanapki z szynką i żółtym serem, po czym popędzili z nimi z powrotem do warsztatu na terenie składnicy, urządzonego przez Jupitera pod gołym niebem. Dopiero wtedy Pete, pomiędzy kolejnymi kęsami, powiedział pokrótce o tajemniczych przygodach Paula.

- Nie domyślasz się, Paul, kto mógł wybijać te szyby? - zapytał Jupiter. Paul potrząsnął przecząco głową.

- Nie wiem nawet tego, w jaki sposób mogły zostać stłuczone. Za którymś razem byłem już na ganku i słyszałem nawet brzęk szkła lecącego na ziemię, ale nie dostrzegłem koła samochodu żywego ducha.

Powiedziawszy to, Paul popatrzył na Trzech Detektywów.

- Wiem, że zabrzmiało to nieprawdopodobnie, ale wszystko wskazuje na to, że te szyby wyleciały same, bez niczyjej pomocy!

ROZDZIAŁ 2

Niewidzialna siła

- Szkło - powiedział w zamyśleniu Jupiter - jest podatne na zmęczenie, wtedy może popękać samoistnie. Ale nie wydaje się rzeczą prawdopodobną, aby mogło się to zdarzyć cztery razy w krótkich odstępach czasu i w dodatku w tym samym pojeździe.

Paul wlepił w Pierwszego Detektywa zdumione spojrzenie.

- Jupe miał na myśli to - wyjaśnił z uśmiechem Pete - że szkło może się zużyć tak, jak wszystko inne, ale nie cztery razy pod rząd w jednym samochodzie.

- Dzięki - odetchnął z ulgą Paul. - Czy on zawsze przemawia takim językiem?

- Przyzwyczaisz się do tego - uśmiechnął się Bob. - W gruncie rzeczy on jest najwykolejszym na świecie typowym geniuszem.

- Jeżeli skończyliście już z tym błaznowaniem - powiedział lodowatym tonem Pierwszy Detektyw - to może zastanowilibyśmy się wreszcie nad istotą sprawy? Proponuję, żeby Paul opowiedział wszystko od samego początku.

- On ma na myśli to - mrugnął do Paula Pete - żebyś na początek włączył czwórkę.

Chłopak z zadartym nosem uśmiechnął się, a potem rozpoczął swoją opowieść. Wszystko zaczęło się od tego, że miał kolegę, mieszkającego w willowej dzielnicy miasta, pod numerem 142 przy Valerio Street. Po kolacji zabierał często ciężarową furgonetkę ojca, aby odwiedzić swego przyjaciela. Za każdym razem parkował samochód w tym samym miejscu, naprzeciwko jego domu. I w okresie niecałych dwóch miesięcy aż cztery razy stwierdził po powrocie do samochodu, że boczna szyba w kabinie, po stronie kierowcy, jest rozbita. Nie miał oczywiście pojęcia, czyja to mogła być sprawka, był jednak pewien, że nie mógł tego zrobić żaden z jego kumpli.

- Czy jeździłeś tam zawsze w ten sam dzień tygodnia? - zapytał Bob.

Paul zamyślił się.

- Nie, nie wydaje mi się, ale nie jestem tego pewien. Pamiętam tylko, że po raz ostatni byłem tam w zeszłą środę.

Także na twarzy Jupitera pojawił się wyraz zamyślenia.

- Czy w tym samym czasie tłuczono szyby również w innych samochodach?

- Nic takiego do mnie nie dotarło - odparł Paul. - To znaczy, nigdy nie słyszałem, żeby leciały jakieś okna w tamtej okolicy, ale też nikogo o to nie pytałem.

- Powiedz mi, Jupe - odezwał się Pete - dlaczego właściwie tłuczenie innych szyb

miałoby mieć jakieś znaczenie?

- Bo jeśli leciały one tylko w samochodzie Paula - wyjaśnił Jupiter - może ta jego ciężarówka ma jakąś ukrytą wadę albo ktoś celowo chce zniszczyć właśnie ją. A jeżeli tłuczono też inne szyby, nie można wiązać całej sprawy z jednym samochodem. Ale dlaczego o to pytasz?

- Ponieważ któregoś wieczoru w zeszłym tygodniu ktoś stłukł szybę w samochodzie mojego taty, no i on także nie miał pojęcia, w jaki sposób to się mogło stać! - odparł Pete, a potem dodał, że auto zaparkowane było na ulicy przed domem i wybito w nim szybę w drzwiach po stronie kierowcy. Jego ojciec nie zauważył, aby w pobliżu kręciły się jakieś podejrzane typki, nie znalazł też w środku żadnego kamienia czy innego przedmiotu, który mógł wpaść do środka przez stłuczone okno. - Mój staruszek twierdzi, że to robota jakichś dzieciaków. Wiecie, takich gnojzków, którzy latają po mieście i dla zabawy wybijają szyby w samochodach.

- Dorosłym zawsze się wydaje, że do takich rzeczy zdolne są tylko dzieciaki - westchnął Jupiter, ale w chwilę potem w jego głosie pojawiło się nagle ożywienie. - To, co powiedział Pete, wskazuje, że cała ta sprawa ma znacznie większy zasięg i nie ogranicza się tylko do furgonetki Paula. Przede wszystkim musimy zacząć od...

Nagle jego okrągła twarz zbladła jak prześcieradło.

- Szybko, chłopaki! - syknął z przejęciem. - Wiejemy! Nie ma chwili do stracenia!

Pozostali chłopcy wybałuszyli na niego oczy. W tym samym momencie także oni usłyszeli grzmiący z oddali głos cioci Matyldy.

- Czas do roboty, obwiesie! Wiem, że jesteście na podwórzu! Wyłazić, nicponie!

- Paul jest za duży na Tunel Drugi - szepnął Jupiter. - Do Łatwej Trójki, prędko! Biegiem!

Czterej chłopcy wyskoczyli z warsztatu i popędzili wzdłuż przylegającej do niego wielkiej hałdy złomu. Zatrzymali się dopiero koło osadzonych wciąż w futrynie, wielkich dębowych drzwi, opartych o stos dużych bloków granitu. Pete sięgnął głęboko do jakiejś skrzyni pełnej starych rupieci i wyciągnął z niej ogromny, zardzewiały klucz, którym otworzył dębowe podwoje. Tuż za nimi znajdował się potężnych rozmiarów stary żelazny kocioł. Pochyliwszy się, cała czwórka zagłębiła się w jego wnętrzu. Idący przodem Pete otworzył wmontowane w ścianę kotła drzwiczki. Przepchnąwszy się przez nie, chłopcy znaleźli się w zagraconym, ale przytulnym pomieszczeniu przypominającym biuro.

- O rany! - Paul zamrugał z przejęcia oczami. - Chłopaki, gdzie my jesteśmy?

- W naszej Kwaterze Głównej - poinformował go Pete z odcieniem dumy w głosie. -

To stara przyczepa turystyczna, którą wuj Jupe'a kupił dobrych parę lat temu. Obłożyliśmy ją dookoła starym żelastwem, tak że jest zupełnie niewidoczna z zewnątrz. Wszyscy całkiem o niej zapomnieli. Nawet ciocia Matylda nigdy nas tu nie znalazła!

- Rzeczywiście, byczo tutaj! - stwierdził z podziwem Paul, przyglądając się regałowi z kartoteką i biurku, na którym stał telefon z automatyczną sekretarką i dodatkowym głośnikiem, radio, aparat interkomu i para kieszonkowych walkie-talkie.

- W miarę wygodnie - potwierdził Jupiter. - Ale wracając do tego, co chciałem powiedzieć, kiedy przerwała mi ciocia Matylda, musimy zacząć od przeanalizowania, w jaki sposób możliwe było niezauważalne wybicie tych szyb, i to bez zostawienia śladów!

- Za pomocą fal ponaddźwiękowych! - powiedział Bob. - Szkło może popękać pod wpływem dźwięku.

- Jasne! - zapalił się Pete. - Słyszeliście chyba o trąbach jerychońskich?

- Już prędzej mógł to spowodować odrzutowiec przekraczający barierę dźwięku - odezwał się Paul. - Powstaje wtedy grzmot, od którego mogły popękać te szyby.

- A czy zanim usłyszałeś brzęk tłuczonej szyby, nad domem kolegi przelatywał jakiś odrzutowiec? - zapytał go Jupiter.

Paul potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nie przypominam sobie żadnego odrzutowca.

- A czy w pobliżu domu twojego kolegi znajdują się jakieś zakłady przemysłowe, albo radiowe czy telewizyjne stacje nadawcze? - zapytał Jupiter. - Jakikolwiek urządzenia, które mogłyby przez przypadek wyemitować ponaddźwiękowe fale?

- Nie - odparł Paul. - Są tam naokoło wyłącznie zwykłe domy.

- A może zdarzyło się tam trzęsienie ziemi? - podsunął Pete.

- Czułeś jakieś wibracje czy wstrząsy? - zapytał Bob.

- Nie - powiedział Paul. - Ale niewykluczone, że mogło się tam zdarzyć coś takiego, tyle że o małej mocy. Pamiętam trzęsienia ziemi, przy których podskakiwało wszystko na półkach, a ja nic nie czułem.

Jupiter pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Szyby samochodowe są bardzo mocne.

- A może zrobił to wiatr? - zasugerował Bob. - Na przykład trąba powietrzna? Czytałem gdzieś, że zdarzają się one w tej okolicy.

- Paul zauważyłby przecież, że w powietrzu latają jakieś papiery czy inne śmieci - zwrócił uwagę Jupiter.

- A mm... może to było jakieś promieniowanie? - zająknął się niepewnie Pete. -

Promienie śmierci?

- Takie jak w “Gwiezdnym wojnach” - podchwycił Paul. - Promieniowanie mocy!
- Z jakiejś innej planety... - dodał Bob.
- Z kosmicznego statku!
- Niewidzialne UFO!
- Albo...duch!
- Nieczysta siła!

Jupiter uniósł obie ręce, aby uciszyć wrzawę, która wypełniła niewielkie pomieszczenie.

- Chłopaki, dajcie spokój tym fantazjom! Możliwe, że zadziałała tu jakaś niewidzialna siła, ale bardziej prawdopodobne jest to, że istnieje proste i oczywiste wytłumaczenie, które zwyczajnie nie przyszło nam do głowy. Problem w tym, że tak naprawdę mamy mało informacji. Proponuję podjęcie praktycznych działań, i to w dwóch kierunkach.

- Co masz na myśli? - zapytał niecierpliwie Paul.

- Po pierwsze, urządzimy coś w rodzaju wizji lokalnej. Zaparkujemy samochód przed domem twojego kolegi i będziemy obserwować, czy ktoś nie zabierze się do tłuczenia w nim szyb. Poza tym...

- Ale mój stary nie pozwoli mi pojechać tam naszą furgonetką - przerwał mu Paul.

Jupiter uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że uda się nam zdobyć dużo lepszą przynętę niż twoja furgonetka.

- A to drugie? - nie mógł się doczekać Bob. - Co to ma być, szefie?

- Zorganizujemy “System połączeń duch z duchem”.

Paul zamrugał ze zdumienia oczami.

- Co takiego? Połączenia ducha z duchem?

- To taki sposób, który Jupe wymyślił dla wykorzystania jak największej liczby dzieciaków do szukania albo obserwowania czegoś - wyjaśnił Pete. - Każdy z nas prosi pięciu znajomych, żeby robili to, o co nam chodzi, potem każdy z nich prosi o to samo pięciu swoich kolegów, i tak dalej.

- Kapuję - powiedział Paul. - Jeżeli każdy z nas znajdzie piątkę chętnych, i każdy z tej piątki znajdzie pięciu następnych, z których każdy namówi pięciu... O rany, to by było już pięćset osób! W ten sposób można by pokryć całe Los Angeles.

- Dokładnie tak - przytaknął Jupiter. - Ale na razie ograniczymy się do objęcia tą siatką Rocky Beach. Wykorzystamy ją do zbadania, czy w okresie ostatnich dwóch miesięcy wybito w mieście dużo szyb w samochodach, a jeśli tak, to gdzie i kiedy.

- Która z tych akcji pójdzie na pierwszy ogień - zapytał Pete?

- Możemy zrobić obie rzeczy naraz - stwierdził Jupiter. - Puścimy w ruch nasz system, a sekretarka automatyczna będzie rejestrowała informacje telefoniczne od kolejnych dzieciaków. Tymczasem sami urządzimy zasadzkę i spróbujemy zachęcić tego kogoś czy to coś do powtórzenia łobuzerskiego wyczynu.

- I złapiemy chuligana, który wybija szyby w samochodach - podsunął skwapliwie Bob.

- Niekoniecznie - odparł Jupiter. - Nie można przecież wykluczyć, że te szyby wyleciały za sprawą jakiejś siły, o której nigdy dotąd nikt nie słyszał!

ROZDZIAŁ 3

W zasadzce

Było już prawie całkiem ciemno, kiedy Pete, ostro naciskając na pedały swego wysłużonego roweru, ruszył wreszcie w kierunku składnicy złomu. W żołądku tkwiła mu ciężko dodatkowa porcja ciasta orzechowego, która była powodem tego opóźnienia. Zbliżając się do składnicy, już z daleka zobaczył jaśniejącą przed bramą łunę blasku. Biła ona od pozłacanego rolls-royce'a, z którego Trzej Detektywi korzystali często w swych dochodzeniach. Obok samochodu stał Paul Jacobs, wpatrzony z podziwem w czarno-złotą, wspaniałą maszynę.

- Powiedz mi, skąd się tu wzięło to cudenko? - zapytał Paul, kiedy Pete zeskoczył z roweru.

- To jest zabytkowy rolls-royce - odparł rzeczowo Pete, a potem opowiedział starszemu koledze, jak to kiedyś Jupiter wygrał prawo do trzydziestodniowego korzystania z luksusowego auta. A potem wdzięczny klient załatwił chłopcom możliwość korzystania z samochodu, kiedy tylko by go potrzebowali, i to wraz z kierowcą, Anglikiem o nazwisku Worthington. W chwili gdy Pete kończył swą opowieść, z bramy składnicy wyskoczyli biegiem Jupiter i Bob.

- Spóźniliście się obaj - powiedział Jupiter. - Zwaliliście na mnie i Boba opracowanie całego planu "Systemu połączeń".

- Ojciec nie chciał mnie podwieźć, więc musiałem tu iść na piechotę - wyjaśnił Paul. - Przepraszam za kłopot, koledzy.

- A ty, Pete? - zapytał Jupiter mrużąc oczy. - Na pewno szamałeś dodatkową porcję jakiegoś placka, przyznaj się.

Pete'owi ze zdumienia opadła szczęka.

- Skąd wiesz?

- Z czysto logicznej dedukcji - odparł Jupiter, przesadnie akcentując słowa. - Z precyzyjnego rozumowania.

Bob roześmiał się.

- Dzwoniliśmy do ciebie i twoja mama powiedziała nam o tym placku. Jupe'owi jest żal, że to nie on go wszamał.

- Tylko małostkowi ludzie odczuwają zazdrość - stwierdził górnolotnie Jupiter. - W każdym razie pani Crenshaw powiedziała, że odłoży kawałek tego ciasta specjalnie dla mnie.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem. W tym momencie przednie drzwi rolls-royce'a otworzyły się i z samochodu wysiadł mocno zbudowany mężczyzna o szczupłej, pogodnie uśmiechniętej twarzy. Miał na sobie szoferski uniform, którego dopełniała trzymana w ręce czapka.

- Dobry wieczór - powiedział uroczystym tonem, kłaniając się lekko Jupiterowi.

- Dobry wieczór - odpowiedział Jupiter. - Dziś wieczór będzie nam towarzyszył w naszym wypadzie nowy kolega, Paul Jacobs. Pan Worthington powitał Paula skinieniem głowy.

- Bardzo proszę - powiedział. - Jestem do waszych usług.

- Jesteśmy już trochę spóźnieni - powiedział Jupiter. - Dokładnie o dziewiątej musimy się znaleźć na Valerio Street 142.

- Nie powinniśmy mieć z tym żadnych kłopotów - odparł kierowca rolls-royce'a. - O ile niezwłocznie zajmiecie miejsca w samochodzie.

Kiedy tylko eleganckie auto ruszyło pod wskazany adres, Jupiter pośpiesznie przedstawił kolegom opracowany przez siebie plan akcji. Przed skręceniem w Valerio Street Bob, Pete i on sam wysiadą, zaś Worthington dojedzie wraz z Paulem do miejsca, w którym chłopiec zostawiał zwykle swoją furgonetkę. Tam Paul wysiadzie i głośno oświadczy panu Worthingtonowi, że może robić, co chce, ponieważ on, Paul, zamierza spędzić ponad godzinę w domu przyjaciela. Worthington następnie oddali się tak, jakby szukał jakiejś kawiarni, a Paul uda się do domu kolegi. Ale zamiast wchodzić do środka, Paul ukryje się w takim miejscu, z którego będzie mógł obserwować rolls-royce'a od strony chodnika. Tymczasem Trzej Detektywi zbliżą się ukradkiem i ukryją się gdzieś po drugiej stronie ulicy.

- Obawiam się, panie Worthington, że rolls-royce może trochę w tym wszystkim ucierpieć - stwierdził z zakłopotaniem Jupiter.

- Czy jesteśmy w trakcie jakiegoś nowego dochodzenia?

- Tak, proszę pana.

- Zatem ewentualne szkody zostaną poniesione w ramach obowiązków służbowych - stwierdził z całym spokojem kierowca. - Ale chciałbym zapytać, jeśli wolno, jakiego one mogłyby być rodzaju?

- Prawdopodobnie stłuczona szyba.

Worthington westchnął.

- W porządku - powiedział po chwili.

- Ale - dodał Jupiter - może się też przydarzyć jakieś zadraśnięcie czy wyszczerbienie lakieru.

Przez chwilę wzrok Worthingtona błdził powoli po lśniącej, mieniającej się złotymi odcieniami masce samochodu. Jupiterowi wydało się, że ciałem Anglika wstrząsnął nagły dreszcz.

- No więc - powiedział szybko - być może skończy się tylko na bocznym oknie, tym koło pana.

- Jeżeli będzie to tylko okno, nie mam zastrzeżeń.

W tym momencie samochód dojechał do skrzyżowania z Valerio Street. Worthington bezgłośnie zatrzymał rolls-royce'a i obmyślona przez Jupe'a akcja rozpoczęła się. Wkrótce potem auto stało już naprzeciwko domu oznaczonego numerem 142, zaś Trzej Detektywi siedzieli ukryci za kępą krzaków po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko samochodu-przynęty. Dzięki licznym drzewom i krzewom, rosnącym w ogródkach i na podwórzach, prawie nie było widać ukrytych za nimi domów, zaś cała uliczka robiła wrażenie intymnego, dobrze zakonspirowanego zakątka.

Uszu chłopców doszedł przeciwiony przez Worthingtona i Paula dialog, po czym ten ostatni ruszył betonowym chodniczkiem w kierunku dużego, elegancko otynkowanego domu kolegi i rozplynął się w cieniu, rzucanym przez wejściowy ganek. Worthington natomiast zaczął kroczyć powoli ku najbliższej przecznicy, pogwizdując żwawą, marszową melodyjkę. Po jego odejściu uliczka pograżyła się w ciszy. Zaczajeni w ciemnościach detektywi czekali niespokojnie.

Pete jako pierwszy dostrzegł zbliżającą się kobietę.

- Uwaga, chłopaki! - szepnął przez zęby.

Ulicą nadchodziła wysoka, ubrana w spodnie i męską koszulę kobieta, prowadząca wielkiego doga. Ciepły, letni wieczór idealnie zresztą nadawał się na taki spacer. Kobieta posuwała się nie chodnikiem, ale po jezdni, Dymając w ręku błyszcząca, czarną laskę z dużą, srebrzystą główką. Właściwie to nie ona prowadziła ogromnego czworonoga, ale on ciągnął ją za sobą, obwąchując każde drzewo rosnące przy krawężniku i prawie wszystkie koła stojących na ulicy samochodów. Nagle kobieta stanęła jak wryta. Ujrzała bajecznie połyskującego rolls-royce'a. Przez chwilę wpatrywała się z podziwem, wreszcie, szarpnięta przez potężnego doga, zatoczyła się w kierunku auta, omal się nie przewracając.

Znalazszy się dokładnie naprzeciwko jego przednich drzwi, uniosła laskę i zamachnęła się nią energicznie.

- Spokój, Hamlet! - rzuciła rozkazująco.

Dog skulił się, z wywieszonym językiem, drżąc niemal na całym ciele. Kobieta nie przestała wymachiwać ciężką laską, coraz bliżej bocznych okien rolls-royce'a.

- Co za idiotyczny sposób tresury - szepnął Pete. - W ten sposób osiągnie tylko tyle, że pies zacznie się jej bać.

- Czy to możliwe, żeby właśnie ona powybiła tamte szyby swoją lalką? - zaczął się zastanawiać głośno Bob. - To znaczy, przez przypadek.

Jupiter pokręcił przecząco głową.

- Paul zobaczyłby ją.

Kobieta opuściła wreszcie groźną lagę, po czym uszczęśliwiony takim obrotem sprawy pies pociągnął ją dalej, w głąb ulicy. Zaledwie oboje zniknęli za rogiem, z tego samego kierunku nadeszli dwaj chłopcy w sportowych dresach, ćwicząc po drodze łapanie piłki baseballowej. Jeden szedł chodnikiem, drugi środkiem jezdni. Przerzucali piłkę nad zaparkowanymi samochodami, po czym rzucali się ze śmiechem do biegu, aby ją złapać w ulicznym półmroku. Niemal co drugi rzut kończył się kiksem i szukaniem piłki między kołami samochodów.

- Jak myślisz, Juve? - szepnął Bob. - Czy to mogli być oni?

- Nie - odszepnął mu Pierwszy Detektyw. - Paul nie mógłby ich nie zauważyć, nawet gdyby pogasły latarnie.

- Poza tym - mruknął Pete - ci dwaj nie zdołaliby nic rozbić nawet przez przypadek.

Chłopcy oddalili się bawiąc się bez przerwy, po czym skręcili w przecznicę. Na Valerio Street znów wrócił spokój. Zaczęło się robić późno.

W oknach większości domów pogasły już światła. Minęła pełna godzina, w czasie której nie zakłócił ciszy najmniejszy nawet ruch. Wreszcie zza rogu wyjechał na rowerze z dziesięciobiegową przerzutką jakiś rosły mężczyzna.

Ukryci w krzakach chłopcy zdwoili czujność. Strumień światła z przedniej latarki roweru wyglądał jak wysunięte do przodu czułki jakiegoś owada. Rowerzysta miał na sobie jaskrawą, żółtą koszulkę kolarską i obcisłe, czarne trykoty, kończące się tuż pod kolanami. Na jego nogach migwały długie, żółte skarpetki i wąskie pantofle, wciśnięte w noski przy pedałach. Okrągły, plastikowy kask, gogle i słuchawki, podłączone do radia czy odtwarzacza kasetowego umieszczonego w plecaku dopełniały jego stroju, który sprawiał, że można go było wziąć za przybysza z jakiejś odległej planety.

- Wygląda, jakby wracał prościutko z "Gwiazdnej wędrowki" - chichotał cicho Pete.

Rowerzysta jechał powoli, tak jakby miał już dość pedałowania. Na widok rolls-royce'a zatrzymał się prawie w miejscu, a potem zaczął kręcić kółka obok połyskującego złotem samochodu. Chłopcy wstrzymali oddechy próbując odgadnąć, czym też się skończy to podziwianie zabytkowego auta. Jednak chwilę potem rowerzysta zatoczywszy kolejne kółko,

nacisnął nagle mocniej na pedały i w mgnieniu oka rozplątał się w cieniu padającym od stojących dalej domów.

- Eeee! - szepnął wyraźnie zawiedziony Pete. - Już myślałem, że...

- Robił takie wrażenie, jakby miał zamiar coś zmalować - jęknął Bob.

Schowany w krzakach Jupiter zmarszczył brwi.

- Jesteśmy za bardzo przewrażliwieni i podrywamy się na każdy szmerek. Musimy uzbroić się w cierpliwość.

Chłopcy rozprostowali zdrętwiałe kończyny i powrócili do czatów. Jupiter zaczął się niespokojnie wiercić. Nadchodziła pora, o której Paul powinien zakończyć wizytę u kolegi.

Uwagę Jupe'a zwrócił nagle szybko poruszający się cień. Z głębi ulicy nadchodziła jakaś postać. Po drugiej stronie, za zasłoną drzew, tuż obok zaparkowanych samochodów. Cień poruszał się zygzakiem między jezdnią i chodnikiem, po rozdzielającym je trawniku. Kiedy znalazł się bliżej, Jupe zobaczył niskiego, skradającego się jakby ukradkiem człowieczka, niosącego coś w ręku.

- Co on tam ma? - syknął Pete wytrzeszczając oczy.

Mały człowieczek skradał się nadal, rozglądając się na wszystkie strony, tak jakby bał się własnego cienia. W pewnej chwili prześliznął się na jezdnię.

- On ma kij do baseballa! - wyrwało się Bobowi trochę zbyt głośnym szeptem.

Oślupiali z wrażenia chłopcy wlepili oczy w skuloną postać człowieczka, który przemykał coraz bliżej lśniącego rolls-royce'a. Wyobrażali sobie, jak unosi w górę ciężki kij, aby nim rąbnąć w którąś z szyb wielkiego auta. Słyszeli już prawie brzęk tłuczonego szkła. Jeśli to właśnie wydarzyło się w ostatnią środę, trudno się było dziwić Paulowi, że znajdując się na ganku domu kolegi, usłyszał wszystko, ale nie był w stanie dostrzec sprawcy, który ukradkiem przemknął w głąb ulicy, kryjąc się w cieniu drzew i domów. Byli pewni, że wszystko powtórzy się za chwilę na ich oczach. Ale dziwaczna postać przemknęła szybko, jakby ją ktoś gonił. W chwilę potem nie było śladu po małym człowieczku. Zniknął w głębi ulicy, nie zamierzywszy się nawet swoim kijem na żaden ze stojących samochodów.

Zawiedziony Pete jęknął rozpaczliwie.

Jego dwaj koledzy, tak samo zdeprimowani jak on, przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, obserwując opustoszałą uliczkę. Panującej wokół ciszy nie zakłócił nawet jeden przechodzień czy jakiś przypadkowy samochód. Minęła jedenasta i nie wydarzyło się nic więcej.

- Paul wychodził zwykle od kolegi o jedenastej - powiedział w końcu Pete.

Jupiter podniósł się.

- Jeżeli chcemy powtórzyć dokładnie wszystkie okoliczności, musimy niezwłocznie stąd spadać.

Rzekłszy to, ruszył w stronę jezdni. W tym samym momencie ze swej cienistej kryjówki koło ganku wyłonił się Paul, a tuż po nim zza rogu przecznicy wyszedł Worthington. Kiedy wszyscy zgromadzili się koło rolls-royce'a, Jupiter rozejrzał się ponuro po zawiedzionych twarzach.

- Być może źle to obliczyłem - powiedział patrząc w ziemię.

- Źle obliczyłeś, Jupe? - zapytał Bob. - A w czym mogłeś popełnić błąd?

- W tym, że ponieważ stłuczono szybę także tacie Pete'a, przyjąłem, że sprawca nie polował wyłącznie na furgonetkę Paula - wyjaśnił Pierwszy Detektyw. - Ale szyba w samochodzie pana Crenshawa mogła zostać rozbита przez przypadek. Furgonetka pana Jacobsa mogła więc być jedynym rzeczywistym celem tego osobnika.

- Jeżeli tak było naprawdę, to prowokowanie sprawcy przy pomocy rolls-royce'a mija się z celem - stwierdził Pete. - Trzeba by użyć tej samej furgonetki.

- Wiesz co, Jupe? - powiedział w zamyśleniu Bob. - W takim przypadku "System połączeń" też nic nie da. Po prostu nie będzie doniesień o innych rozbitych szymbach.

- Masz rację, Bob - przytaknął Jupiter pełnym przygnębienia głosem. - No dobra, dziś już za późno na to, aby wracać do Kwatery Głównej. Dopiero rano będziemy mogli stwierdzić, czy "System połączeń" okaże się rzeczywiście całkowicie bezużyteczny!

ROZDZIAŁ 4

Alarm!

Bob przewracał się na łóżku prawie przez całą noc, zastanawiając się nad całą tą zagadkową sprawą. Nic więc dziwnego, że zasnął, a do tego obudził się półprzytomny. Na nogi postawił go na dobre dopiero rozzłoszczony głos ojca, który doszedł jego uszu w chwili, gdy schodził na śniadanie.

- Nie można już niczego zostawić na ulicy! To zbyt niebezpieczne!

- Ależ, mój drogi, to był na pewno przypadek - odpowiedział głos mamy Boba. - Nie trzeba wiele, żeby rozbić szybę w samochodzie.

- No dobrze, zgoda, jednak na wszelki wypadek będę wstawiał samochód na noc do garażu.

Bob o mało się nie zabił, pokonując ostatnie stopnie schodów. Na łeb, na szyję popędził do kuchni, gdzie jego rodzice kończyli właśnie poranny posiłek.

- Tato! Stłukli ci w nocy szybę w samochodzie?

- Niestety, tak, synku.

- Czy to było okno obok kierowcy?

- Tak - odparł pan Andrews, spoglądając na Boba spod zmarszczonych brwi. - Skąd, u licha...

- A ty nie wiesz oczywiście, jak to się mogło stać? - Przerwał mu skrajnie podekscytowany Bob. - Nie znalazłeś żadnego kamienia czy innego przedmiotu, którym to zrobiono?

- Skąd, u licha, wiesz o tym wszystkim? - zapytał podejrzliwym tonem pan Andrews.

Bobowi nie zostało nic innego, jak tylko opowiedzieć ojcu o tajemniczym tłuczeniu szyb w samochodzie Paula, rozbitej szybie w samochodzie pana Crenshawa, wreszcie o urządzanej poprzedniego wieczoru zasadzce.

- Jesteś absolutnie pewien, że ten Paul Jacobs niczego nie zauważył po tym, jak usłyszał brzęk tłuczonego szkła? - zapytał pan Andrews.

- Nie, nie widział nawet cienia.

- Ale to musiała być robota jakichś chuliganów!

- W takim razie byli to chuligani z gatunku niewidzialnych, tato. Duchy.

- Daj spokój, Robert, to śmieszne! Zdajesz sobie przecież...

- Jestem pewna, że sprawa da się wytłumaczyć w jakiś prosty sposób - przerwała

mężowi pani Andrews. - Jupiter ze swoją paczką rozwiąże tę zagadkę. A teraz może byście obaj dokończyli wreszcie śniadanie?

Boba nie trzeba było do tego zachęcać. W jednej chwili uporał się ze swoją porcją jajecznicy, aby jak najprędzej znaleźć się w Kwaterze Głównej i poinformować kolegów, że poprzedniego wieczoru wyleciało jeszcze jedno samochodowe okno. Na koniec pociągnął parę łyków mleka i zerwał się od stołu.

- Nie zapomniałeś posłać swojego łóżka, młody człowieku? - zapytała pani Andrews.

- Nie, mam, nie zapomniałem - uspokoił ją Bob.

Znalazłszy się po szaleńczej jeździe rowerem pod składnicą, Bob nie skorzystał z głównej bramy, ale pojechał dalej wzdłuż parkanu, ozdobionego przez mieszkających w Rocky Beach malarzy podobiznami drzew, kwiatów, pływających po jeziorze łabędzi, a nawet widokiem statku tonącego w morzu. Bob zatrzymał się w tym właśnie miejscu i nacisnął oko ryby, przyglądającej się dramatycznej scenie. Dwie wymalowane na zielono deski parkanu rozsunęły się, otwierając Zieloną Furtkę Numer Jeden, prowadzącą do odkrytego warsztatu Jupitera. Nie było w nim nikogo, stał jednak rower Pete'a. Bob szybko przeczołgał się przez Tunel Drugi, czyli przez całą długość szerokiej rury, ukrytej pod stertą starego żelastwa, i uniósł zapadkowe drzwi w podłodze Kwatery Głównej.

- Ej, chłopaki! Dziś w nocy w samochodzie mojego taty...

Nie dokończył jednak, stwierdziwszy nagle, że nikt go nie słucha. A prawdę mówiąc, nikt nie zauważył nawet jego wejścia. W środku panowało zamieszanie i zamęt, niczym w centrum operacyjnym NASA w dniu wystrzelenia rakiety kosmicznej. Jupiter, Pete i Paul stali z zadartymi głowami przed ogromną mapą Rocky Beach, przypiętą do ściany. Słuchając odtwarzanych z magnetofonu głosów, wbijali pinezki we wskazane miejsca planu. Bob pojawił się w chwili, gdy jakiś dziecięcy głosik oznajmiał:

-... w zeszłą środę wybito okno w drzwiach koło kierowcy w samochodzie pana Wallace'a, stojącym naprzeciwko domu przy East Cota 27.

Paul wbił pinezkę w odpowiednim miejscu mapy. W chwilę potem inny głos Informował, że "kilka tygodni temu stłuczono szybę w samochodzie Jima Ellera w pobliżu West Oak 45. Było to przednie lewe okno w drzwiach". Tym razem pinezkę wcisnął Pete. Pokój wypełnił teraz głos jakiejś dziewczynki:

- ...Pani Janowski stwierdziła, że w nocy z ostatniego poniedziałku na wtorek ktoś potłukł szybę w przednich lewych drzwiach jej samochodu przy De LaVina 1689.

Na mapie pojawiła się nowa pinezka, umieszczona przez Jupitera.

Bob klepnął Jupitera po ramieniu.

- "System połączeń duch z duchem" działa! - wykrzyknął rozradowanym głosem.

Jupe odwrócił się z triumfalnym uśmiechem na twarzy.

- Automatyczna sekretarka zarejestrowała mnóstwo zgłoszeń wczoraj wieczorem i dziś z samego rana, a co chwila dzwonią następne dzieciaki. Ktoś od dwóch miesięcy tłucze szyby w całym Rocky Beach!

- Za każdym razem wylatywały tylko szyby w drzwiach koło kierowcy, do tego wyłącznie w samochodach zaparkowanych na ulicy - krzyknął Pete. - Nikomu nie udało się zobaczyć sprawcy. Nie wiadomo, kto, albo może co, za tym stoi!

- Wbiliśmy już prawie sto pinezek - oznajmił Paul.

- No to wbij jeszcze jedną - odparł Bob, a potem opowiedział kolegom o tym, co spotkało samochód jego ojca.

- Masz, sam ją wepnij - powiedział Pete, podając mu pudełko z pinezkami.

Bob zaczerpnął ich całą garść, wbił jedną, a potem włączył się do słuchania kolejnych raportów. Taśma w automatycznej sekretarce dojechała wkrótce do końca, ale telefon z coraz to nowymi informacjami o wybitych szybach dzwonił prawie bez przerwy. Jupe zajął się nagrywaniem ich na magnetofon, ale do pozostałych chłopców docierały one bezpośrednio przez włączony głośnik.

-... koło siedzenia kierowcy w samochodzie pana Andrews przy ulicy... To jest głos Maxa Brownmillera, który mieszka parę domów dalej. Widocznie dowiedział się o samochodzie mojego taty - powiedział Bob.

Przez pewien czas jeszcze chłopcy odbierali meldunki i znakowali plan miasta. W końcu telefon zamilkł jednak na dobre Peta policzył wetknięte w plan pinezki.

- Sto dwadzieścia siedem!

- Pierwszy przypadek miał miejsce dwa miesiące temu - stwierdził Paul. - Jeszcze przed wybiciem po raz pierwszy szyby w naszej furgonetce.

- Jupe rozumował więc prawidłowo - zauważył Bob - Sprawca nie poluje wyłącznie na wasz samochód.

- Ale - powiedział w zamyśleniu Jupiter, wpatrując się w gąszcz pinezek znaczących prawie wszystkie ulice w centrum miasta - czy coś z tego wynika? Jakiś metodyczny plan działania?

- Co on tu nawija? - zapytał lekko zdezorientowany Paul.

- Chodzi o to - wyjaśnił Bob - że kiedy coś powtarza się na okrągło, można zwykle znaleźć przynajmniej jeden element, który pojawia się za każdym razem. W tym przypadku szyby mogłyby wylatywać na przykład w samochodach jednej firmy, z powodu, dajmy na to,

jakiejś urazy, którą sprawca żywi w stosunku do określonego producenta.

- Albo może - odezwał się Pete - ktoś mógłby mieć pretensje do turystów, którzy przyjeżdżają tu, żeby się opalać, i robią za dużo hałasu. Ale wtedy wszystkie pinezki koncentrowałyby się w obrębie plaży

- A gdyby te okna wypadały pod wpływem jakiejś naturalnej siły - dodał Jupiter - wtedy wszystkie pinezki koncentrowałyby się w pobliżu jej źródła. Tu jednak pinezki znajdują się praktycznie wszędzie.

- No, niezupełnie, Jupciu - zauważył Pete - Skupiają się jednak w centrum miasta. Nie ma ani jednej w okolicy, gdzie znajduje się ta składnica złomu, ani wzdłuż brzegu oceanu, ani po stronie wzgórz.

Rzeczywiście. Pozostała trójka próbowała w milczeniu rozgryźć ten problem.

- Wiesz co, Jupe? - odezwał się po chwili Bob, marszcząc brwi. - Jest jednak coś, czego nie rozumiem.

- Co takiego?

- Popatrz sam - powiedział Bob wpatrując się w mapę - Z meldunków wynika, że wczoraj wieczorem wybijano szyby wzdłuż prawie całej Valerio Street, więc dlaczego żadna nie wyleciała na tym kawałku, gdzie byliśmy?

Jupiter kiwnął głową.

- Zauważyłem to, ale na razie nie przychodzi mi do głowy żadne wytłumaczenie. Jakiś powód musi jednak istnieć i jestem pewien, że dałoby się znaleźć go w rozmieszczeniu pinezek na planie. Myślę, że jeszcze raz powinniśmy przesłuchać taśmę z meldunkami, a potem...

Nagle dał się słyszeć ostry, metaliczny dźwięk, od którego aż zawibrowały blaszane ściany przyczepy. Brzmiał on tak, jakby w któryś ze zwalonych wokół niej kawałów żelastwa uderzył jakiś twardy przedmiot. Dźwięk powtórzył się. Tym razem towarzyszyły mu jakieś inne, słabsze odgłosy.

- Ktoś jest na zewnątrz! - wykrzyknął Pete.

Ostry dźwięk zabrzmiał znowu.

- Słuchaj, Jupe, może to ciocia Matylda albo wuj Tytus - powiedział Bob. - Rzucę okiem przez Wszystkowidzącego.

Nie czekając na odpowiedź jednym susem skoczył w kąt pomieszczenia, gdzie znajdowała się długa, przeprowadzona przez otwór w dachu przyczepy, rura od piecyka. Do jej dolnego końca dołączone było kolanko oraz dwie rączki do obracania. Całe to urządzenie przypominało do złudzenia dolną część peryskopu, i rzeczywiście był to najprawdziwszy w

świecie, domowej roboty peryskop wykonany z rur i lusterek, zbudowany przez Jupitera po to, aby Trzej Detektywi mogli obserwować najbliższą okolicę z wnętrza kwatery. Bob przyłożył oko do wylotu i zrobił pełny obrót.

- Widzę przy bramie ciocię Matyldę i wuja Tytusa - zameldował. - Hans i Konrad ładują jakieś rupiecie na ciężarówkę. Po drugiej stronie składnicy myszkuje paru klientów. W pobliżu nie ma nikogo.

W tej samej chwili dał się słyszeć znowu metaliczny dźwięk, tym razem wyraźniejszy i bliższy. Wrażenie było takie, jakby ktoś skradał się po zwalonym wokół przyczepy żelastwie.

- Mamy wizytę jakiegoś intruza! - stwierdził Pete.

- Ale on jest poniżej mojego pola widzenia - jęknął Bob.

- Prędko, chłopaki - ponaglił kolegów Jupiter. - Bob, wyjdiesz Tunelem Drugim. Pete wyskoczy zapasową Czwórką. Ja biorę ewakuacyjne, czyli Łatwą Trójkę. Spróbujemy okrążyć nieproszonego gościa. A ty, Paul, zostaniesz tutaj. Nie otwieraj żadnych drzwi, chyba że usłyszysz tajny sygnał: najpierw trzy stuknięcia, potem jedno, na końcu dwa.

Paul kiwnął głową. Trzej Detektywi błyskawicznie wymknęli się na dwór, aby zidentyfikować tajemniczego intruza.

ROZDZIAŁ 5

Zagrozenie w skladnicy

Znalazłszy się u wylotu tunelu, Bob ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył skuloną po przeciwnej stronie warsztatu Jupitera, ubraną na czarno, szczupłą sylwetkę.

Intruz zdawał się zajęty majstrowaniem przy czymś leżącym na ziemi. Bob wyciągnął szyję, aby dojrzeć, co to takiego. Zawadził przy tym ramieniem o jakieś oparte o rurę żelastwo, które przewróciło się z głośnym hałasem.

Czarna postać obróciła się w jego stronę. Nie miała twarzy!

Bob dojrzał jednak błysk oczu intruza i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że głowę i twarz zakrywa czarna narciarska kominiarka. Poczul na sobie jego pełen napięcia wzrok. Został odkryty!

- Kim jesteś? I czego tu szukasz! - wrzasnął wygrzebując się na czworakach ze służącej za tunel rury.

Zamaskowany intruz chwycił leżący przed nim na ziemi przedmiot i rzucił się do ucieczki. Bob zerwał się na równe nogi i skoczył w kierunku wejścia do warsztatu. Zobaczył, że czmychająca postać przemyka, klucząc niczym zając między zwałami żelastwa, prosto do Łatwej Trójki! Zaraz wpadnie w ręce Jupitera!

W ułamku sekundy nieproszony gość znikł za stertą starych cegieł i innych rupieci. Bob zaczął nasłuchiwać, ale minęła minuta i jego uszu nie doszedł żaden odgłos szamotaniny. Gdzie mógł się podziać Jupiter? Przecież powinien tam być!

Odczekawszy jeszcze chwilę, Bob ruszył powoli do miejsca, w którym po raz ostatni widział zamaskowaną postać. Za stertą cegieł nie było nikogo. Bob położył się na ziemi i podczołgał do piętrzących się jedna na drugiej starych lodówek i pralek, a potem ostrożnie wychylił głowę, żeby się rozejrzeć. Przed oczami mignął mu jakiś cień. Ktoś skradał się przy samym parkanie.

Wyteżył wzrok, wstrzymując jednocześnie oddech. Przemykająca coraz bliżej postać nie miała na twarzy żadnej osłony. Nagle padł na nią snop słonecznego światła. Pete! Bob zerwał się na równe nogi. Dojrawszy go, Pete pomachał mu z daleka ręką, dając do zrozumienia, że nic nie widział ani nie słyszał. Bob odpowiedział umówionym sygnałem, unosząc dłoń z wyprostowanym kciukiem na znak, że widział intruza.

Nagle gdzieś na wprost niego dał się słyszeć głuchy łomot, tak jakby gruchnęły z góry na dół jakieś drewniane skrzynie czy szafki.

Energicznym ruchem ręki Bob dał Pete'owi znak, aby okrążyli z dwóch stron to miejsce i spotkali się w nim. Pete kiwnął w odpowiedzi głową i zniknął. Bob zaczął się ostrożnie skradać między rzuconymi byle jak kuchennymi gratami. W końcu dotarł do stosu potłuczonych, starych mebli, które najwyraźniej zjechały dopiero co z fasonem z czubka wielkiej piramidy zardzewiałego żelastwa, prawie tak wysokiej, jak sterty otaczające Kwaterę Główną. Zza leżącego na wierzchu kredensu wyłonił się Pete.

- Widziałeś go? - zapytał z zawiedzioną miną Bob.

- Żywego ducha - odparł Pete kręcąc głową.

- Ratunkuuu!

Obaj chłopcy zdrętwieli. Krzyk dochodził gdzieś z wnętrza wielkiej piramidy.

- Na pomoooc!

- To głos Jupe'a! - wykrzyknął Pete.

- Prędko! - ponaglił go Bob.

Nie namyślając się dłużej, obaj dali nura w zwałone na kupę żelastwo, starając się wcisnąć w widoczne tu i ówdzie wąskie szczeliny.

- Ratunkuuu!

Stłumione wołanie zdawało się dochodzić gdzieś z lewej strony.

- Na pomoooc!

Teraz znowu głos dobywał się gdzieś z prawa.

Wciśnięci głęboko w piętrzące się nad ich głowami masy złomu, chłopcy rozejrzeli się na wszystkie strony. Nigdzie nie było żadnego korytarzyka, w który można by się było zagłębić. Trzeba się było drapać ciasnymi przejściami, wciskać w szczeliny bez dalszego ciągu, omijając blokującą drogę betonowe bloki i części jakichś starych maszyn i urządzeń

- Ratunkuuuu!

- Jupe, jesteśmy tu! - krzyknął Pete. - Jeżeli nas słyszysz, nie przestawaj wołać!

- Będzie nam łatwiej cię znaleźć! - zawtórował mu Bob Krzycz bez przerwy!

- Ratunkuuu!... Ratunkuuu!... ..tunkuuu!

Kierując się wrzaskami Pierwszego Detektywa, Pete i Bob ze zdwojoną energią zagłębili się w plątaninę stojaków, przedpotopowych obrabiarek, dziurawych kotłów i zdezelowanych sprzętów. Wołaniu Jupe'a zdawały się to przybliżać, to znów oddalać. W końcu obaj chłopcy znaleźli się w miejscu, do którego głos ich szefa dochodził gdzieś z bliska.

- Mam! Tutaj! - wrzasnął Bob.

Więzieniem Jupe'a okazała się ogromna, stara chłodnia z rzeźni, tak przestronna, że po

zawieszeniu w niej sześciu ubitych wołów byłoby jeszcze miejsce na urządzenie dyskoteki. Masywna klamka, podparta jakimś grubym drągiem, nie dawała się otworzyć z wewnątrz. Stłumione krzyki ustały.

- Szybko! W środku na pewno jest mało powietrza! - krzyknął Pete, a potem usunął z pomocą Boba drewniany drąg i otworzył ciężkie drzwi.

- Jupe! Jesteś tu? - zawołał Bob w głąb czarnej czeluści.

Pierwszy Detektyw siedział w kucki, oparty plecami o tylną ścianę pustej chłodni, błędząc wzrokiem po hakach i wieszadłach na wieprze i woły.

Nie zareagował na wołanie kolegi.

- Szefie, nic ci się nie stało? - zapytał zaniepokojonym tonem Pete.

Tak zawsze rzutki przywódca dzielnej trójki westchnął ciężko,

- Dałem się nabrać na stary kawał z otwartymi drzwiami - powiedział ze zniechęconą miną. - I wpadłem jak pierwszy lepszy nieprofesjonalny naiwniak.

- Jupe, kto ci to zrobił? - spytał Bob. - Widziałeś go?

- Po wyjściu na dwór Łatwą Trójką zobaczyłem tylko jakiś przemykający czarny cień. A on mnie dostrzegł i uciekając tędy strącił na ziemię te drewniane graty. Pobiegłem za nim, ale tylko przez ułamki sekund mogłem dostrzec jego plecy między stertami tego żelastwa. Potem zobaczyłem, że wskakuje tu, do chłodni. A przynajmniej tak mi się wydawało. Musiał przykucnąć za otwartymi drzwiami, bo kiedy wpadłem do środka i zacząłem się rozglądać, on zaszedł mnie od tyłu. Wepchnął mnie głębiej i zatrzęsął za mną drzwi. Szarpałem za klamkę, ale to nic nie dawało.

- Mogłeś się udusić z braku powietrza! - wykrzyknął Bob.

Jupiter westchnął niechętnie.

- W tej starej chłodni jest tyle dziur, że nie było takiego niebezpieczeństwa. Najgorsze, że nie tylko zrobił mnie w bambuko, ale nadal nie mam pojęcia, kim on może być i jak wygląda.

Uszu chłopców doszedł nagle głośny łoskot. Tym razem brzmiał on tak, jakby z wysokiej sterty stoczyła się i lupnęła o ziemię blaszana bańka. Wszyscy trzej w jednej chwili wyskoczyli z chłodni.

- On ciągle tu jest! - krzyknął Pete.

- Pewno ma takie same sęki z wydostaniem się stąd, jak my mieliśmy z wciśnięciem się do tej dziury! - powiedział Bob.

- Prędko, chłopaki, nie traćmy czasu - ponaglił ich Jupiter.

Cała trójka zaczęła najszybciej, jak to tylko było możliwe, przeciskać się z powrotem.

Kiedy wszyscy znaleźli się na trochę mniej zagrożonym terenie, ruszyli biegiem w kierunku miejsca, z którego doszedł ostatni hałas. Wkrótce znaleźli się niedaleko tylnej części ogrodzenia. Po drodze rozglądali się na wszystkie strony, jednak tajemniczy intruz znikł jak kamfora.

- Patrzcie, chłopaki! - krzyknął nagle Pete. - Tam, do góry!

Dla lepszej ochrony przechowywanych na złomowisku skarbów przed słońcem i deszczem wzdłuż całego parkanu biegł prawie dwumetrowej szerokości, pokryty cynkowaną blachą daszek. Sponad jego krawędzi wystawało zaczepione tam coś w rodzaju czteroramiennej małej kotwiczki albo drapacza. Przy końcu jej trzonka znajdował się pierścień, do którego przywiązana była gruba linka.

- Co to takiego? - zdziwił się Bob.

- To jest kot do wyciągania wiader zatopionych w studni - powiedział Jupiter. - Albo do wspinania się na wysokie przeszkody Zarzuca się to na drugą stronę muru czy płotu albo skały i kiedy któryś z pazurów dobrze się zahaczy, można się wspiąć po linie!

Trzej Detektywi zadarli do góry głowy, aby przyjrzeć się sprytnemu urządzeniu. W tej samej chwili umocowana do kotwiczki linka szarpnęła się, a potem uniosła falistym ruchem niczym wał broniący się przed atakiem z powietrza. Kotwiczka uwolniła się ze swego chwytu i z metalicznym szurgotaniem pomknęła na drugą stronę daszka, aby zniknąć w końcu za płotem.

- Biegiem - krzyknął Jupiter. - Do Czerwonej Furtki Korsarza!

Biegnąc wzdłuż parkanu do im tylko znanego tylnego wyjścia, chłopcy usłyszeli dochodzący z ulicy hałas zapuszczania silnika samochodu. Bob w pośpiechu zwolnił blokadę trzech listew i cała trójka błyskawicznie precyzyjnie przycisnęła się na drugą stronę. W sam czas, aby dojrzeć jeszcze znikający za rogiem tył małego, czerwonego auta.

- Za późno! - jęknął Pete.

- Czy któryś z was zauważył markę wozu? Albo numery na tablicy? - zapytał zdyszczonym głosem Bob.

- To mogło być sportowe MG - stwierdził bez przekonania Pete. - Ale nie jestem tego pewien. A tablicy nie widziałem,

- Ani ja - powiedział Jupiter.

Trzej Detektywi stanęli na opustoszałej ulicy, spoglądając ze smutkiem w kierunku, w którym zniknął czerwony samochód

- Co ten facet tu robił? - zastanawiał się głośno Bob.

- Z całą pewnością zależało mu na dostaniu się po kryjomu na teren składnicy -

stwierdził Pete. - Świadczy o tym ta kotwiczka z liną.

- Chodźmy zobaczyć, co porabia Paul - zdecydował Jupiter. - A potem spróbujemy wykopować, o co intruzowi chodziło.

Nie zwlekając dłużej, pospieszyli do sekretnej furtki. Znajdowała się ona w miejscu, w którym wymalowany na płocie, duży landszaft przedstawiał dom, płonący w wielkim pożarze San Francisco z 1906 roku. Scenie tej przyglądał się smutno mały piesek, którego jedno oko namalowane było w miejscu, gdzie w drewnianej listwie znajdował się spory sęk. Wystarczyło wyjąć go, włożyć w otwór jeden albo dwa palce i zwolnić zasuwkę, blokującą trzy umocowane na zawiasach listwy, ochrzczone przez chłopców mianem Czerwonej Furtki Korsarza. Znalazłszy się w środku, chłopcy popędzili do Drzwi Czwartych. Prowadził doń wąski, kręty korytarzyk, prawie niewidoczny między stertami złomu. Na jego końcu znajdowała się wbudowana w tylną ścianę przyczepy płyta, po odsunięciu której wchodziło się wprost do Kwatery Głównej. Znalazłszy się naprzeciwko niej, Jupiter zapukał w umówiony sposób: trzy razy, raz, dwa razy.

- I co to było? - zapytał niecierpliwie Paul, odsunawszy na bok płytę.

Jupiter w krótkich słowach opowiedział mu o tym, co zdołali zobaczyć.

- Jak myślisz, Paul - zapytał na zakończenie - czy tym intruzem mógł być jakiś twój znajomy?

- Nie - odparł krótko Paul. - Ale co on tu robił?

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć - stwierdził Jupiter. - Wyjdziemy teraz na dwór i przeszukamy złom, zwalony dookoła przyczepy. Może natkniemy się na coś, co nam wyjaśni, po co ten facet tu myszkował.

Tym razem Jupiter poprowadził resztę towarzystwa do swego warsztatu.

- Z odgłosów, które do nas dotarły - powiedział - można się było domyślić, że tajemniczy osobnik wlaźł aż na czubek tej piramidy. Jeden z nas powinien przeszukać to miejsce.

- Zdaje mi się, że Bob jest z nas wszystkich najlżejszy - powiedział Paul.

- O rany, to jasne jak plamy na słońcu - roześmiał się Pete.

- Wiem, ile waży nasz analityk - stwierdził lekko poirytowanym głosem Jupiter. - Dobra, niech się drapie na tę górę. A w tym czasie my trzej zajmujemy się...

- Ach, więc to tak! - zagrzmiął nagle niczym grom z jasnego nieba znajomy głos. - Mam was wreszcie, nicponie!

W tym samym momencie w wejściu do warsztatu stanęła z rękami na biodrach ciocia Matylda. Wszystkie drogi ucieczki były odcięte. Skorzystanie z Tunelu Drugiego równałoby

się zdradzeniu sekretnej kryjówki.

- Pete, zostawiłeś wczoraj grządki opielone tylko w połowie. A dla ciebie, Jupiterku, mam jeszcze sporo obluzowanych sztchet w parkanie. Weźmiesz Boba i razem solidnie je poprzybijacie. A wasz nowy kolega może pomóc Pete'owi.

-Ależ, ciociu... Prowadzimy właśnie fantastycznie ważne dochodzenie - wyjął cicho Jupiter.

- Bzdury! Nie będzie pracy, nie będzie zapraszania kolegów aż do końca wakacji! Nie będę powtarzał tego dwa razy!

Wygłosiwszy tę reprimendę, ciocia Matylda odwróciła się na pięcie i odeszła. Czterej chłopcy ponuro przyglądali się, jak znika za zwałami złomu.

- Chłopaki, co będzie z naszym śledztwem? - jęknął Pete.

- Czy twoja ciocia, Jupe - zapytał Bob - tak tylko straszy, czy też rzeczywiście może nam utrudnić spotkania?

Jupe kiwnął głową.

- Przykro mi, chłopaki, ale zatarg z ciocią Matyldą to nie jest Myszka Miki. Chyba będziemy musieli dokończyć te prace. Ale nie jest powiedziane, że nie da się połączyć ich jakoś z dochodzeniem. Dwóch z nas będzie się zajmować pieleniem i przybijaniem sztchet, a w tym czasie pozostała dwójka będzie kontynuować śledztwo. Co godzinę albo dwie możemy się wymieniać.

Propozycja została przyjęta. W połowie popołudnia można już było stwierdzić znaczne postępy w robocie przy zielsku i przy naprawie parkanu. Chłopcy zdążyli nawet coś tam wszamać w porze lunchu. Nie znaleźli jednak prawie żadnych śladów pozostawionych przez tajemniczego gościa.

- Stwierdziłem, że rzeczywiście był tam na górze - zameldował Bob. - Kilka kawałków złomu, które maskowały nasze kable telefoniczne, zostało odrzuconych na bok. Położyłem je znowu na miejsce, ale na pewno on w nich grzebał.

Popołudnie miało się już ku końcowi, kiedy Paul odkrył małe, srebrzysty krążek, dwa razy mniejszy i cieńszy od dziesięciocentówki.

- Leżał w warsztacie, w pobliżu skrzynki waszego interkomu - wyjaśnił. - Zobaczyłem go tylko dlatego, że błyszczał w słońcu.

Trójka detektywów zbiła się wokół niego w ciasną gromadkę.

- To bateria do miniaturowych urządzeń elektronicznych! - wykrzyknął Jupiter. - Czy w tym miejscu nie leżało nic więcej? Może jakiś mały mikrofonik albo nadajnik?

- Tylko to - powiedział Paul wyciągając rękę. Na jego odkrytej dłoni ujrzeli małe

plastykowe pudełeczko, z którego wystawały cienkie druciki.

- Nie mam pojęcia, co to może być, ale wygląda tak, jakby ktoś rozgniół je butem - odezwał się Bob.

Jupe uważnie przyjrzał się maleńkiemu znaleźisku.

- Myślę, że to jest pluskwa. Wiecie, taki miniaturowy mikrofonik.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś nas szpiegował? Podśluchiwał nasze rozmowy? - wykrzyknął Pete.

- Dokładnie tak - odparł Jupe. - Zabieramy się do szukania następnych. Wiecie, takich właśnie maleńkich pudełeczek albo rzeczy, które mogą okazać się miniaturowymi mikrofonami czy nadajnikami.

Do kolacji żadnemu z chłopców nie udało się jednak znaleźć nic więcej. Ciocia Matylda sprawdziła robotę i ostrzegła Jupitera, że lepiej będzie, jeżeli jutro dokończy pielienią i naprawę płotu. Chłopcy w ponurym nastroju rozsiedli się w warsztacie.

- "System połączeń" udowodnił - zaczął Jupiter - że szyby samochodowe tłuczone były w całym mieście. Liczba tych zdarzeń dowodzi, że nie mógł to być jakiś przypadkowy zbieg okoliczności. Te szyby nie mogły polecieć ot tak, bez powodu. Najpierw musimy się dowiedzieć, w jakim celu ktoś je wybija, i dopiero wtedy będziemy mogli odkryć sprawcę tego wandalizmu.

- Ale jak chcesz to zrobić, Jupe? - zapytał nieufnym tonem Pete.

- Musimy przestudiować rozmieszczenie pinezek na planie miasta - odparł Pierwszy Detektyw. - Jestem pewien, że gdzieś tu właśnie kryje się odpowiedź. Poza tym spróbujemy jeszcze raz urządzić zasadzkę. Myślę, że prędzej czy później rolls-royce zwabi łobuza w nasze sidła.

- Może dziś wieczorem - zapytał Bob, którego najwyraźniej korciło, aby znowu popatrzeć na dziwnych spacerowiczów.

- Nie, dziś już za późno na zamówienie samochodu. Spróbujemy zrobić to jutro. Być może tym razem ten wandal zdecyduje się uderzyć i będziemy mogli przyłapać go na gorącym uczynku!

ROZDZIAŁ 6

W tym szaleństwie jest metoda!

Następnego dnia Paul musiał pomóc ojcu w sklepie. A ponieważ dochodzenie miało zostać podjęte dopiero wieczorem, Bob i Pete pojechali popływać na desce surfingowej, a potem zjedli razem kolację przygotowaną przez mamę Pete'a. Przez cały dzień nie mieli żadnego, nawet telefonicznego kontaktu z Jupiterem.

O ósmej trzydzieści, wciąż nie mając żadnej wiadomości od Juve'a, obaj chłopcy wskoczyli na rowery i ruszyli w kierunku składnicy złomu. W warsztacie pod gołym niebem nie było żywego ducha. Bob i Pete wpełzli więc do tunelu i w chwilę potem znaleźli się pod służącą za wejście do Kwatery Głównej zapadkową klapą. Z wnętrza przyczepy nie doszedł ich uszu żaden szmer, ale w szparach obramowania kłapy widać było smugi światła. Wycucie podpowiadało im, że w środku ktoś jest. Bob powoli uniósł klapę, a potem wraz z Pete'em wyciągnęli szyje, aby rozejrzeć się po wnętrzu.

W głębi, w fotelu za biurkiem siedział Jupiter z szeroko otwartymi, ale nic nie widzącymi, szklanymi oczami, tak jakby ich właściciel uległ zahipnotyzowaniu, wpatrując się zbyt długo w jeden i ten sam punkt.

- Zdaje mi się, koledzy, że znalazłem odpowiedź - powitał ich, kiedy wdrapali się do środka. Nadal jednak patrzył wprost przed siebie, ani na moment nie przenosząc na nich swego wzroku. - Nie wiem jednak, o co w niej chodzi!

- Wiesz - Pete mrugnął porozumiewawczo do Boba - że... nic nie wiesz? Zdaje mi się, że ktoś już kiedyś powiedział...

- Pinezki! - przerwał mu Bob, który idąc za wzrokiem Jupitera spojrzął na upstrzoną nimi mapę Rocky Beach. Nie brakowało żadnej z nich, ale nie świeciły już jednostajnym srebrzystym blaskiem.

- O rany - wyrwało się Pete'owi - ile tu kolorów!

- Dokładnie cztery - uściślił Jupiter. - Siedzę tu przez całe popołudnie, gapiąc się w ten plan i próbując znaleźć w tym galimatiasie odrobinę sensu. Postanowiłem zastosować barwne pinezki, przeznaczając dla każdego dnia tygodnia inny kolor. Prędko zorientowałem się, że potrzebuję tylko dwóch: jednego dla poniedziałków, drugiego dla śród. Wszystkie szyby zostały stłuczone wyłącznie w poniedziałki albo w środy!

- Ale ja tam widzę cztery kolory, a nie dwa - odezwał się Bob.

- Tak, rzeczywiście - przyznał Jupiter. - Mając do dyspozycji tylko dwa kolory, nie

byłem w stanie dostrzec tu żadnego wzoru czy metody działania. Zdecydowałem się więc na przydzielenie osobnego koloru każdemu poniedziałkowi i każdej środzie w ostatnich dwóch tygodniach. Wybrałem żółty, czerwony, zielony i niebieski. - W tym momencie Jupiter zrobił efektowną pauzę, niczym wytrawny aktor przygotowujący się do wygłoszenia dramatycznej kwestii. - I wzór ukazał się natychmiast jak na dłoni! - dokończył triumfalnie.

Stojący przed mapą Bob wybałuszył na nią oczy, niczym ciełe na malowane wrota. - One układają się w równiutkie rzędy. Każdy kolor przecina mapę linią prostą!

- Całkiem niezłe, panie specjalisto od analiz - pochwalił go Jupiter. - W każdy poniedziałek i środę w ciągu ostatnich dwóch tygodni tłuczono szyby w samochodach wzdłuż linii prostej, idącej przez całe Rocky Beach.

- O rany! - wykrzyknął Pete. - Czy to oznacza, że...? Czy też może...? Ej, Jupe, gadaj prędko, co to znaczy?

- No właśnie - odparł nieco markotnym głosem Jupiter. - Rzecz w tym, że tak naprawdę nie jestem tego pewien.

Bob i Pete popatrzyli najpierw na niego, potem na usianą kolorowymi punkcikami mapę, wreszcie przenieśli wzrok z powrotem na swego szefa.

Pierwszy Detektyw westchnął ciężko.

- Jak powiedziałeś wcześniej, przypuszczam, że znam już odpowiedź, ale nie wiem nadal, co ona właściwie oznacza. Znalazłem na tej mapie jeszcze jeden ważny fakt.

- Co takiego, Jupe? - zapytał niecierpliwym tonem Bob.

- Że każdego wieczoru, kiedy leciały szyby, pozostawiano nietknięte samochody stojące na przynajmniej dwóch odcinkach tej ulicy, między kolejnymi przecznicami! W tych strefach nie stłuczono ani jednej szyby!

Pete przeniósł wzrok na mapę.

- Chcesz powiedzieć, że za każdym razem sprawca, posuwając się wzdłuż ulicy, omijał niektóre bloki domów, stojących między sąsiadującymi przecznicami?

- Tak, zgadza się - potwierdził Jupiter. - Przyjrzyj się rzędowi żółtych pinezek wbitych wzdłuż Valerio Street, przy której zaczailiśmy się w zeszły poniedziałek. Oszczędzono trzy odcinki, a przy jednym z nich my urządziliśmy zasadzkę!

- Kie licho, Jupe? Jak myślisz, dlaczego? - zapytał Pete marszcząc brwi.

- Także i na to nie mam jeszcze gotowej odpowiedzi - powiedział Jupiter. - Ponieważ jednak mieściło się to w ramach ustalonego wcześniej schematu, najwyraźniej nie miało żadnego związku z urządzoną przez nas zasadzką. Ale musiał istnieć jakiś powód, dla którego tego wieczoru ominięty został odcinek, na którym my się akurat znajdowaliśmy, a kiedy

indziej oszczędzano inne odcinki.

Bob uważnie przyjrzał się mapie.

- Nie wydaje się, Jupe, aby te pozostawione w spokoju odcinki miały ze sobą coś wspólnego. Mam na myśli to, że nie znajdują się one w odrębnej, wyróżniającej się pod jakimś względem dzielnicy i nawet nie są położone blisko siebie. Nie można też powiedzieć, że leżą między tymi samymi, kolejnymi przecznicami, powiedzmy, między piątą i szóstą, czy coś w tym stylu.

- A jednak jest coś, co je łączy - powiedział Jupiter. - Kiedy patrzymy wzdłuż tej samej ulicy, za każdym razem jeden odcinek przechodzi w drugi.

Bob i Pete jeszcze raz spojrzeli na mapę i potwierdzili to spostrzeżenie skinieniem głowy. Rzeczywiście, fragmenty ulic pozbawione pinezek za każdym razem łączyły się ze sobą. Przez chwilę wszyscy zastanawiali się w skupieniu nad możliwymi interpretacjami tego faktu. Przerwało im ciche stukanie do drzwi prowadzących od Łatwej Trójki: trzy uderzenia, potem jedno, wreszcie dwa. Bob otworzył usytuowane z boku drzwi i do środka wpadł zdyszany od biegu Paul.

- Chłopaki, przepraszam za spóźnienie. Próbowałem wytłumaczyć ojcu, co nam dało zorganizowanie tego systemu połączeń, ale nie chciał mnie nawet słuchać.

- Dorośli - powiedział Jupiter - bywają czasami niewiarygodnie ograniczeni. Tak jakby im padło na mózg.

- Tak - zgodził się z niepewną miną Paul. - W każdym razie rolls-royce z panem Worthingtonem czeka już przed bramą.

- A więc - stwierdził Jupiter - nie zostało nam nic innego, jak rozpocząć zaplanowaną na dziś wieczór akcję!

ROZDZIAŁ 7

Oskarżeni!

Kiedy ogromny rolls-royce sunął przez pogrążone w wieczornej ciszy miasto, Worthington odwrócił lekko głowę w kierunku siedzących z tyłu chłopców.

- Dziś rano w naszej wypożyczalni samochodów zdarzyło się coś dziwnego. Ktoś zadzwonił i poprosił, żeby go skontaktować z czterema chłopcami, których widział podczas jazdy połączonym rolls-royce'em. Przedstawił się jako pan Toyota i wyjaśnił, że potrzebuje czterech typowych amerykańskich chłopców do pozowania do zdjęć reklamowych. Powiedział też, że jeden z nich musi być, hmmm, jakby to określić, zdecydowanie krępy. Mam nadzieję, Jupe, że nie weźmiesz mi tego za złe. Nasz recepcjonista, chcąc mu w tym pomóc, podał temu panu adres składnicy złomu.

Pogrążeni w cieniu chłopcy wymienili szybkie spojrzenia.

- To musiał być ten intruz, który myszkował po składnicy - powiedział Bob.

- Panie Worthington, czy mógłby pan opisać głos tego faceta? - zapytał Jupiter.

- Recepcjonista mówił mi, że słyszał go raczej niewyraźnie, jak to się zdarza przy złym połączeniu. Odniósł tylko wrażenie, że jego rozmówca przemawiał zdecydowanie wysokim falsecikiem, z wyraźnym orientalnym akcentem. Podejrzewam jednak, że nasz recepcjonista nie jest wielkim ekspertem od tych rzeczy.

- Wygląda mi to na celową zmianę barwy głosu - powiedział Bob.

- Chyba masz rację - przytaknął mu Jupiter.

- Ale to oznacza - wtrącił Pete, że ktoś musiał nas zaobserwować w zeszły poniedziałek wieczorem! Może dlatego nie poleciała żadna szyba.

Jupiter zamyślił się na chwilę.

- Nie, on najwyraźniej przykapował nas w czasie jazdy rolls-royce'em. Musiało się to zdarzyć albo przed zasadzką, albo w drodze powrotnej. Jeśli przed, to nie mógł wiedzieć, dokąd się udajemy, ponieważ wysiedliśmy jeszcze przed dojechaniem do Valerio Street. A jeśli w czasie powrotu, to nie miałyby to żadnego wpływu na rzeczy, które wydarzyły się wcześniej. A poza tym ten żartowniś omijał niektóre odcinki, zanim w ogóle dowiedzieliśmy się o jego wyczynach.

- Masz rację - zgodził się Pete. - To rzeczywiście nie mogło mieć żadnego znaczenia.

- Ależ przeciwnie - zaoponował Jupiter. - Mogło, i to kapitalne. Jeśli ten intruz w kominiarce ma jakiś udział w tłuczeniu szyb, to w takim razie ktoś w tym mieście jest mocno

zaniepokojony naszym dochodzeniem!

Pan Worthington znowu odwrócił lekko głowę.

- Panowie, następna ulica to już będzie Valerio Street - powiedział cicho.

Chłopcy sprawnie powtórzyli przeciwiczone już raz czynności i wkrótce potem Pete, Bob i Jupiter siedzieli ukryci za tymi samymi krzakami po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko domu oznaczonego numerem 142. Zadekowani w swych kryjówkach przyglądali się, jak Paul zmierza betonowym chodniczkiem do swego przyjaciela, a Worthington odchodzi spacerowym krokiem w stronę najbliższego rogu.

Niedługo potem nadeszła wysoka kobieta z wielkim dogiem na smyczy. I tym razem miała ze sobą laskę z metalową oprawką. Tak jak poprzednio, przystanęła, aby popatrzeć na rolls-royce'a, a potem pogroziła psu laską, kiedy ten próbował pociągnąć ją dalej.

- Spokój, Hamlet! Dokąd tak ci się spieszy?

Usiłujący stłumić śmiech chłopcy omal się nie podusili, kiedy potężny czworonóg, nie zwracając uwagi na upominania właścicielki, błyskawicznie odholował ją do następnej przecznicy. Wkrótce oboje zniknęli za rogiem i na ulicy zapanowała znowu cisza. Żaden z przejeżdżających z rzadka samochodów nawet nie zwolnił, nie mówiąc już o zatrzymaniu się. Po jakimś czasie nadjechał znajomy rowerzysta na dziesięcioprzerzutkowej maszynie, oświetlając sobie drogę reflektorem. Tym razem nie zatrzymał się nawet na moment, aby rzucić okiem na lśniącego rolls-royce'a. W błyszczącym kasku i w goglach, niczym jakiś niesamowity przybysz z kosmosu, przemknął na pełnym gazie i w jednej chwili rozpląnął się w ciemności. Nie zniechęceni tym wszystkim chłopcy czekali dalej. Było już po dziesiątej, kiedy zza rogu skręcił powoli w Valerio Street jaskrawo wymalowany volkswagen. Nie przejmując się poobijanymi błotnikami i odpadającymi zderzakami, pokryte fantastycznymi, żółto-fioletowymi zawijaszami auto ruszyło w stronę widocznego z daleka rolls-royce'a. Kiedy przejeżdżało obok rollsa, wyfrunął z niego jakiś przedmiot i potoczył się pod lśniące nadwozie.

- Oni rzucili coś pod samochód! - krzyknął Pete.

- Widziałeś, co to było? - zapytał głośnym szeptem Jupiter. Wskoczywszy z ukrycia, Trzej Detektywi pobiegli w kierunku samochodu. Zobaczyli pod nim wypchaną czymś papierową torebkę. Pete położył się na brzuchu i sięgnął po nią.

- Prędejj, Pete! - ponaglił go Jupiter.

Drugi Detektyw skoczył na nogi i rozdarł torbę. Ujrawszy jej zawartość, zrobił zakłopotaną minę.

- Puszka po piwie - skrzywił się z niesmakiem. - Wyrzucili ją, bo była pusta - dodał, a

potem zamachnął się przez ramię i cisnął puszkę za siebie.

- Co robisz! - ostrzegł go Jupiter. - Zwariowałeś?

Najwidoczniej Pete spodziewał się, że znajdzie w torbie coś innego. Rozczarowany, smyrgnął nieszczęsną puszkę w bezmyślnym odruchu prościuteńko na rolls-royce'a! Odbiła się od tylnej szyby eleganckiego auta, ześliznęła po lśniącym lakierze i z klekotem potoczyła się po jezdni.

- O rany - odetchnął z ulgą sprawca tak nagłego zakłócenia wieczornej ciszy. - Na szczęście nic się nie...

Spokojna jeszcze przed chwilą ulica wypełniła się w jednej chwili niesamowitym zgiełkiem. Powietrze przecięło kilka głośnych gwizdków. W otaczającym chłopców półmroku rozległy się głośnie nawoływania. Zza krzaków i drzew, rosnących przed domem po prawej, a także zza budynku stojącego po lewej stronie ulicy wyskoczyło kilku umundurowanych policjantów. Zza najbliższych rogów wyjechały z piskiem opon policyjne samochody z włączonymi syrenami i migającymi na dachach kogutami.

Zamarli z przerażenia chłopcy zostali w jednej chwili otoczeni ze wszystkich stron. Wokół nich pojawili się także zwyczajni ludzie, nie kryjący bynajmniej wściekłości. Podszedł do nich groźnie naburmuszony sierżant.

- No, mam was wreszcie w garści, łobuzy!

Zszokowani chłopcy nie byli w stanie wykrztusić jednego nawet słowa. Stojący za plecami policjantów ludzie zaczęli obrzucać ich obelżywymi wyzwiskami.

- Podli smarkacze! Łotry! Szubrawcy!

Przez kordon policjantów przedarł się nagle jakiś rozwścieczony staruszek i wymachując laską, ruszył w kierunku załęcznionych detektywów. Ubrany w stary i mocno wygnieciony, czarny garnitur, w krawacie na gumce i z dyndającym u kamizelki złotym łańcuszkiem od zegarka, wyglądał trochę jak przeżytek z jakichś dawnych czasów. Wyrwawszy się wyglądającej na osiemnaście lat dziewczynie i nieco starszemu od niej młodzieńcowi, zbliżył się do chłopców, potrząsając laską.

- Złodzieje! Gdzie jest mój orzeł?

Z jednego z policyjnych aut wysiadł oficer w eleganckim mundurze z najwyraźniej niedawno naszytymi dystynkcjami porucznika.

- No jak, wy trzej, zechcecie powiedzieć nam, dlaczego wybijacie szyby w samochodach? - zapytał mierząc chłopców surowym spojrzeniem. - Tylko dla zabawy, czy też macie jakieś inne powody?

- Niech pan im każe powiedzieć, gdzie jest mój orzeł! - rzucił poirytowanym tonem

zwawy staruszek.

Pete chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

- Mmmy nie wybijamy żadnych szyb! - wyjąkał wreszcie. - Chcieliśmy tylko wysłedzić...

- Nie próbuj się wykręcać, chłopcze - powiedział groźny sierżant.

- Panie komisarzu, zaczęliśmy się tutaj, żeby złapać na gorącym uczynku chuligana, który wybija te szyby! Jesteśmy detektywami! - wykrzyknął dramatycznym falsetem Bob.

- Popelnia pan poważny błąd, panie sierżancie - stwierdził ze złością Jupiter. - Wszystko wyjaśni się natychmiast, jak tylko zobaczy pan nasze dokumenty - dodał sięgając ręką do kieszeni.

Dłonie policjantów błyskawicznie znalazły się na rękojeściach pistoletów. Elegancik w stopniu porucznika wycelował w Jupitera wskazującym palcem.

- Nie ruszaj się! - rzucił ostro. - Ręce z daleka od kieszeni!

Jupiter znieruchomiał jak sparaliżowany. Przez kordon wpatrzonych w niego policjantów zaczął się przeciskać funkcjonariusz z lotnego patrolu, prowadzący przed sobą Paula Jacobsa.

- Poruczniku, złapałem jeszcze jednego. Wylazł skądś prosto na mnie. Mówi, że jest kolegą tych trzech.

Dziarski staruszek zaczął znowu wywijać laską.

- Znam go! - wrzasnął na całe gardło. - Widziałem go tu za każdym razem, kiedy wybijali szyby w takiej blaszanej furgonetce!

- To był samochód mojego ojca! - zaprotestował Paul. - Przyjeżdżałem nim tutaj.

Filigranowy porucznik uśmiechnął się.

- Spodziewam się, że i ten rolls-royce należy do twojego tatusia, chłopcze?

- Przeszukać ich! - zażądał staruszek z laską. - Któryś z nich może mieć przy sobie tego orła.

Jupiter uniósł głowę najwyżej, jak tylko mógł, i rzucił wyłysiałemu staruszkowi miazdzące spojrzenie.

- Niczego nie potłukliśmy - powiedział wyniośle. - I nic nie ukradliśmy!

- Nie widzieliśmy na oczy żadnego orła! - wykrzyknął Pete.

- Ten pan chyba zwariował! - przyłączył się Bob. - I co byśmy z nim zrobili? Nigdy nie widziałem, żeby ktoś trzymał prawdziwego orła w kieszeni czy za koszulą!

- Rzeczywiście - stwierdził Jupiter. - Nie ulega wątpliwości, że ten pan jest chory na głowę.

Sierżant rzucił chłopcom bystre spojrzenie.

- Nie bądźcie tacy przemądrzali, ty i twoi koledzy. Śledzimy was od dawna. I wreszcie złapaliśmy was na gorącym uczynku, podczas próby wybicia puszką szyby w rollsie.

- To był przypadek - powiedział z naciskiem Pete. - Ja tylko chciałem wyrzucić tę puszkę.

- Gdybyśmy zamierzali wybić szybę, użylibyśmy czegoś cięższego niż puszka po piwie - zauważył Bob. - Ona jest za lekka.

- Z żółto-fioletowego volkswagena, który przejeżdżał tędy parę minut temu, wyrzucono papierową torbę, która potoczyła się pod rolls-royce'a - wyjaśnił Jupiter. - Pete sięgnął po nią, żeby zobaczyć, co w niej jest. Kiedy stwierdził, że to pusta puszka po piwie, poczuł się zawiedziony i cisnął ją za siebie, nie spojrzawszy, co tam stoi. Tak było, panie sierżancie.

- Kłamcy! Oszuści! - wrzasnął rozwścieczony ciągle staruszek, a potem, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, uniósł laskę i zdzielił nią Jupitera po głowie.

Zdezorientowany tym chłopiec nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Wszyscy zresztą znieruchomieli na moment. Nawet obmacujący Pete'a, Boba i Paula policjanci wstrzymali na ułamek sekundy przeszukiwania, nie zrobili jednak ani kroku. Towarzysząca staruszkowi para stała za daleko za jego plecami, aby go powstrzymać. Laska znowu uniosła się w górę.

Nagle przez tłum policjantów i gapiów przedarł się pan Worthington i jednym ruchem dłoni chwycił ją, a potem wyrwał staruszkowi z ręki i odrzucił na bok.

- Proszę zostawić w spokoju pana Jonesa, mój dobry człowieku!

Zaskoczony dziadek spojrzął na niego spod zmrużonych powiek, po czym odwrócił się do policjantów.

- Moja laska! - wrzasnął skrzekliwym głosem. - On na mnie napadł! Widzieliście, panowie! To na pewno herszt tej bandy!

Spostrzegłszy, że straszny staruszek próbuje go zdzielić pięścią, Worthington spokojnym ruchem wyciągnął przed siebie rękę, aby utrzymać go z dala od siebie, a jednocześnie obrócił się w stronę rewidujących chłopców funkcjonariuszy.

- Czy mogę wiedzieć, dlaczego niepokoicie panowie moich młodych klientów i chwilowych przełożonych? - zapytał z eleganckim, leciutkim ukłonem. - I z jakiego zakładu psychiatrycznego oddalił się ten oto pożałowania godny dżentelmen?

Porucznik i sierżant wytrzeszczyli oczy na stojącego w wytwornej pozie kierowcę, który z niezmaconym spokojem wyciągniętą ręką powstrzymywał miotającego się staruszka.

- Czy jest pan może kierowcą tego rolls-royce'a? - zapytał podejrzliwym głosem

porucznik.

- Tak, to ja - potwierdził Worthington.

- I twierdzi pan, że te dzieciaki zatrudniają pana? - pospieszył z kolejnym pytaniem sierżant. - Czy ten samochód należy do nich?

Doprowadzony do białej gorączki staruszek nadal wywijał pięściami, bezskutecznie próbując dosięgnąć Worthingtona.

- Prędej to oni pracują dla niego! - wykrzyknął. - Skąd takie młokosy miałyby wiedzieć, ile jest wart mój orzeł? To on go ukradł! Aresztujcie go!

Worthington zmarszczył brwi i spojrzał w kierunku dwojga młodych, stojących za plecami staruszka.

- Jeżeli jesteście krewnymi tego dżentelmena - powiedział - to proponuję, abyście zabrali go stąd. Obawiam się, że jeśli zostanie tu dłużej, może sobie zrobić coś złego.

Młodzieniec i jego towarzyszka podbiegli do starszego pana, aby odciągnąć go gdzieś na bok. Odwracając się do policjantów, Worthington dwa czy trzy razy klasnął delikatnie w dłonie, tak jakby chciał otrzepać je z kurzu.

- Nie, panie sierżancie, Trzej Detektywi nie są właścicielami rolls-royce'a, ale wynajmują go z mojej agencji i z tego tytułu mogą chwilowo dysponować moją osobą. Jeśli chce pan sprawdzić, co powiedziałem, może pan zadzwonić do agencji "Wynajmij auto - i w drogę".

- Trzej Detektywi? - powtórzył nieufnie sierżant.

- Tak się nazywa nasz zespół detektywistyczny - oświadczył wyniosłym tonem Jupiter. - Jak już wcześniej próbowałem poinformować panów, prowadzimy dochodzenie w związku z całą serią przypadków wybijania szyb. Dlatego właśnie...

- Nie słuchajcie tego pękatego złodziejaska! - wrzasnął staruszek, próbując się wyrwać przytrzymującym go młodym ludziom.

- Panie poruczniku, jestem gotów potwierdzić to, co powiedział ten oto młodzieniec, który jest szefem firmy - oświadczył pan Worthington - a także udzielić pełnego poręczenia za całą trójkę.

- Ale oni nie mogą chyba prowadzić prawdziwych dochodzeń? - zapytał świeżo upieczony porucznik. - To przecież jeszcze dzieci.

- Widzieliśmy na własne oczy, jak jeden z nich rzucił tę puszkę w kierunku rolls-royce'a - odezwała się stojąca obok staruszka dziewczyna.

Porucznik i sierżant zaczęli z zakłopotaniem błędzić oczami po twarzach chłopców, wreszcie spojrzeli na siebie. Porucznikowi wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Byłbym wdzięczny temu, kto by mi powiedział, o co naprawdę w tym wszystkim chodzi!

- Zdaje się, że będę mógł to zrobić, poruczniku - zabrzmiał pewny siebie głos człowieka, który w tej właśnie chwili zjawił się za plecami zdezorientowanych funkcjonariuszy.

ROZDZIAŁ 8

Skradziony orzeł

Przez tłum gapiów zaczął przeciskać się komendant Reynolds, szef posterunku w Rocky Beach. Skłonił lekko głowę w kierunku Trzech Detektywów i Worthingtona, a potem zwrócił się do wyraźnie podenerwowanego porucznika:

- Mogę pana przynajmniej zapewnić, panie Samuels, że wszystko, co przed chwilą usłyszałem z ust chłopców i pana Worthingtona, jest absolutnie prawdziwe. Rzeczywiście prowadzą oni działalność dochodzeniową jako Trzej Detektywi i często wynajmują rolls-royce'a, który tu stoi. A już z całą pewnością nie można posądzać ich o to, że potłukli jakieś szyby czy popełnili kradzież. Jeżeli mówią, że prowadzą w tej sprawie śledztwo, to najwidoczniej tak jest naprawdę.

- Tak jest, sir - powiedział porucznik Samuels.

- Ponieważ nie zetknął się pan nigdy dotąd z tymi chłopcami, nie można wymagać, aby był pan świadom tego wszystkiego - ciągnął komendant. - Ale gdyby rzucił pan okiem na dokumenty, które chcieli panu pokazać, zobaczyłby pan podpisany przeze mnie list polecający.

- Ale my naprawdę widzieliśmy, jak ten najwyższy z nich wszystkich rzucił puszką w rolls-royce'a - tłumaczył się sierżant. - Od prawie dwóch miesięcy urządzamy zasadzki na tych wandalach i rzeczywiście wyglądało na to, że mamy ich wreszcie w garści.

- Przyznaję, że to dochodzenie okazało się kłopotliwe - zgodził się Reynolds, a potem odwrócił głowę w kierunku Trzech Detektywów. - Powiedźcie mi, jak to się stało, że wplątaliście się w tę sprawę?

Jupiter pokrótce opowiedział komendantowi o przykrych przygodach Paula i jego furgonetki, a także o podejrzaniach pana Jacobsa, który twierdził, że syn próbuje chronić swoich kolegów.

- Obawiam się, że kiedy chodzi o jakiś wandalizm, dorośli skłonni są podejrzewać przede wszystkim młodych ludzi - powiedział komendant, spoglądając w stronę eleganckiego porucznika. - Dotyczy to nawet policjantów.

- Od jak dawna policja zajmuje się tą sprawą? - zapytał Jupiter.

- Dlaczego pana ludzie zorganizowali zasadzkę właśnie tutaj?

- Prowadzimy dochodzenie już od prawie sześciu tygodni - wyjaśnił szef policji. - Odkąd stało się jasne, że nie chodzi o jakieś odosobnione, pojedyncze przypadki wybijania

szyb. Nie wiem, co się za tym kryje, ale wylatują one praktycznie w całym mieście. Moi ludzie prowadzili dotąd obserwację w kilku różnych punktach. W tym miejscu siedzą już trzeci wieczór z rzędu.

- Czy zdołali coś przyuważyć, panie komendancie? - zapytał Bob.

- Nic a nic. Absolutnie żadnych podejrzanych działań czy osób. To znaczy, aż do dziś - odparł szef policji, uśmiechając się przy ostatnich słowach. - Szyby lecą nadal w całym mieście, ale nigdy tam, gdzie akurat mam moich ludzi.

- To ciekawe - powiedział w zamyśleniu Jupiter. - Także i my stwierdziliśmy coś podobnego, tyle że to jest dopiero druga nasza akcja tego rodzaju.

- Panie komendancie - zapytał Bob. - Co to za afera z tym skradzionym orłem?

Komendant Reynolds spojrzał w kierunku staruszka w czarnym garniturze, który stał parę kroków dalej, mierząc gniewnym wzrokiem chłopców i funkcjonariuszy. Jego rzadkie siwe włosy nadal przypominały garść zmierzwionej, wyschniętej trawy, ktoś jednak wcisnął mu w dłoń jego laskę. Rzucając zjadliwe uwagi przytrzymującym go młodym ludziom, zaczynał znowu groźnie nią wymachiwać.

- Stojący tam pan Jarvis Temple - wyjaśnił komendant - złożył w zeszłym tygodniu doniesienie, że ktoś ukradł mu orła z zamkniętego samochodu, stojącego przed domem. To ten budynek tam dalej, za drzewami. Orła zostawiono w samochodzie przez nieuwagę. Jego właściciel zdał sobie z tego sprawę dopiero późnym wieczorem i natychmiast wyszedł, żeby go zabrać do domu. Stwierdził jednak, że w samochodzie stłuczono szybę w przednich drzwiach po prawej stronie i orzeł zniknął.

- Jeżeli ktoś wybił szybę - powiedział Bob - to ten orzeł mógł zwyczajnie odlecieć w siną dal.

- Co ty opowiadasz, Bob - zaśmiał się Pete. - Nie mógł odlecieć, bo na pewno siedział zamknięty w klatce. Orły są bardzo niebezpieczne. Ale ja i tak nie pojmuję, jak można przez roztargnienie zapomnieć o tak rzadkim ptaku!

Pan Jarvis Temple wciąż mierzył chłopców podejrzliwym wzrokiem. W pewnej chwili odepchnął swych opiekunów i rzucił się w ich kierunku, wymachując jak przedtem laską.

- Kłamcy! Złodzieje! Udają, że nie wiedzą, o czym się tu mówi. Dobre sobie! Próbują wy kręcić kota ogonem i zrobić wrażenie, że po głowie latają im tylko jakieś ptaki! Tak jakby...

Oczy Jupitera zabłyśły nagle.

- O rany, ale ze mnie osioł! Przecież to jasne! Ten pan nie ma na myśli prawdziwego

orła, ale monetę! Rzadką złotą monetę!

- Tak, bardzo rzadką! - kiwnął głową komendant Reynolds.

- Przypominam sobie - ciągnął podniecony Jupiter. - Chodzi o złotą amerykańską dziesięciodolarówkę, wybitą, zdaje się, gdzieś na początku zeszłego stulecia. Ponieważ widniał na niej orzeł, przylgnęła do niej taka właśnie nazwa. A tak zwany półorzeł, czyli złota pięciodolarówka z 1822 roku, jest jedną z najrzadszych monet na świecie!

- Słyszeliście państwo? - zagrział staruszek. - Ten gagatek wie wszystko o rzadkich monetach!

- Jupiter wie wszystko o wszystkim - wtrącił z uśmiechem Pete.

- No, powiedzmy, prawie wszystko - uśmiechnął się komendant Reynolds. - Zapewniam jednak pana - dodał zwracając się do Jarvisa Temple - że chłopak na pewno nie jest złodziejem.

Roztrzęsiony wciąż staruszek fuknął gniewnie i spojrzał ostro na Jupitera. Stojący obok niego młodzieniec dotknął jego ramienia, tak jakby chciał go uspokoić, a potem posłał nieśmiały uśmiech Trzem Detektywom i komendantowi Reynoldsowi.

- Mój stryj jest po prostu trochę zdenerwowany, panie komisarzu. Oczywiście wierzymy w to, co pan powiedział. Bardzo się cieszę, że mogłem poznać tak bystrych chłopców. Nazywam się Willard Temple, a to jest moja kuzynka Sarah.

Stojąca obok niego dziewczyna pochyliła leciutko głowę.

- Ile może być wart ten wasz "orzeł"? - zapytał Jupiter.

- Tak naprawdę - odparł Willard Temple - nasz egzemplarz jest podwójnym orłem.

- Aha, wiem, chodzi o dwudziestodolarówkę w złocie - wyjaśnił swym kolegom Jupiter. - Najrzadsza z monet o tym nominale pochodzi z 1853 roku. Znana jest tylko w jednym egzemplarzu, który jest własnością rządu. Wiem, że ktoś oferował za nią milion dolarów, ale jego propozycja została odrzucona!

- Tak, rzeczywiście - potwierdził Willard Temple. - Poza tym znane są tylko trzy egzemplarze z trójką nadbitą na dwójce, każdy wartości pół miliona.

- Z czym nadbitym na czym? - zapytał Pete mrugając oczami.

- Chodzi o monetę z 1852 roku, na której dwójka została przebita na trójkę, żeby zmienić datę emisji na rok 1853 - wyjaśnił Jupiter.

- Dokładnie tak - stwierdził Willard Temple. - A nasza moneta jest podwójnym orłem z 1907 roku, z supergłębokim tłoczeniem. O ile mi wiadomo, znanych jest tylko kilka egzemplarzy z tej emisji. Nasz egzemplarz nigdy nie był w obiegu i nie ma na nim najmniejszego zadrapania. Wart jest co najmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Jakim cudem taki skarb mógł się znaleźć sam w samochodzie? - zamyślił się głośno Bob.

- Wieźliśmy ją do domu z wystawy - wyjaśniła Sarah Temple. - Wsiadając z samochodu, stryj zostawił ją po prostu na siedzeniu.

Mówiąca te słowa była wysoką, zgrabną dziewczyną. Miała na sobie modną, wojskową koszulę i granatowe dżinsy. I nawet teraz, późnym wieczorem, osłaniała oczy ogromnymi, ciemnymi okularami. Spoglądając na chłopców posyłała im, a zwłaszcza Paulowi, sympatyczne uśmiechy. Jej stryj patrzył jednak na nią tak samo karcącym, surowym wzrokiem, jak i na chłopców, i na policjantów. Sprawiał wrażenie osoby, która ma prawdziwego bzika.

- Moja bratanica gna jak opętana, jak tylko usiądzie za kierownicą, i bez przerwy nastawia te młodzieżowe rozgłośnie. Tak mnie to zdenerwowało, że byłem u kresu sił. Nie wytrzymałby tego zresztą nikt przy zdrowych zmysłach! Nie mogłem się doczekać, żeby wysiąść wreszcie z samochodu i odpocząć, no i zapomniałem o tym pudełku. Zostawiłem je na przednim fotelu po prawej stronie. Kiedy wróciłem, żeby je zabrać, już z daleka zobaczyłem, że szyba jest wybita. Po moim orle nie było śladu.

Jakby w przypiływie rozpacz po poniesionej stracie, Jarvis Temple usiadł na krawężniku i oparł spuszczone głowę na rękach. Towarzyszący mu młodzieniec pochylił się nad nim, aby go pocieszyć. Był to niewysoki, chudy szatyn, nieco po dwudziestce. Miał na sobie prawie tak samo tradycyjny, urzędniczy garnitur, jak jego stryj.

- Kolekcjonerzy przywiązują się strasznie do swoich monet - zauważył współczująco Jupiter.

- Powiedz, Jupe - odezwał się Pete - nie myślisz chyba, że wszystkie te szyby wytłukł jakiś złodziej okradający samochody?

Jupiter potrząsnął głową.

- Nie, Pete, przecież ludzie nie zostawiają w samochodach tylu wartościowych rzeczy.

- A poza tym - wtrącił Paul - z naszej furgonetki nic nie zginęło.

- Ani z samochodu mojego taty - dodał Bob.

Willard Temple wyprostował się i spojrzał bystro na chłopców.

- W takim razie z jakiego innego powodu wybijano by te szyby?

- Z pewnością działa tu jakiś zorganizowany gang złodziei - powiedziała Sarah Temple.

Komendant Reynolds potrząsnął głową.

- Nie, chłopcy mają rację. Żaden z właścicieli poszkodowanych samochodów nie

złożył nam doniesienia o kradzieży czegokolwiek. Większość tych aut nie była nawet zamknięta. O wiele bardziej prawdopodobne jest to, że mamy do czynienia ze zwykłym, ordynarnym wandalizmem.

- Nie jestem tego pewien, panie komendancie - zaproponował Bob. - Przecież gdyby to byli zwykli wandal, już dawno by ich pan złapał. Albo przynajmniej przestraszył.

- Czy nie uważa pan, panie komendancie, że zwyczajni wandal nie działają metodycznie, według ustalonego schematu? - zapytał w zamyśleniu Jupiter, a potem zapoznał szefa policji z wnioskami, do jakich doszedł na podstawie rozmieszczenia na planie miasta kolorowych pinezek.

- Poniedziałki? Środy? I zawsze wzdłuż linii prostej? - zapytał pan Reynolds marszcząc brwi. - To rzeczywiście wygląda na obmyślane, metodyczne działanie. Ale dlaczego? Po co komuś, kto chce po prostu potłuc kilka samochodowych okien, wszystkie te schematy? Za tym musi się kryć coś jeszcze.

- Tak, proszę pana, to jest rzeczywiście intrygująca sprawa - zgodził się Jupiter. - Ale ja mimo wszystko wierzę, że ma ona jakieś bardzo proste wytłumaczenie. Czy zgadza się pan, abyśmy dalej prowadzili nasze dochodzenie?

- Nie sądzę, aby mi się udało was powstrzymać, choćbym nawet miał taki zamiar - uśmiechnął się w odpowiedzi komendant Reynolds. - Ale bądźcie ostrożni, chłopcy, bardzo was proszę. Nie zapominajcie, że gdzieś tu kręci się złodziej z monetą wartą ćwierć miliona dolarów. Gdyby się wam udało nadepnąć temu orłowi na ogon, natychmiast dajcie mi znać. Pamiętajcie, że to drapieżny ptaszek. Nie róbcie nic sami! Jasne, chłopaki?

Rzekłszy to, komendant Reynolds powiódł wzrokiem po stojących przed nim chłopcach, a potem spojrzał na Worthingtona. Wszystkie głowy pochyliły się na znak zrozumienia i zgody na ten warunek.

- Oczywiście tak zrobimy, panie komendancie - przyrzekł Jupiter. - Ale chciałem zapytać, czy mógłby pan umożliwić nam zapoznanie się z raportami ze wszystkich policyjnych zasadzek?

- Przykro mi, ale to są tajne dokumenty wydziału śledczego.

Stropiony tą odpowiedzią Jupiter zagryzł usta i zabrał się do miętoszenia palcami dolnej wargi.

- Panie komendancie - odezwał się nagle Bob. - Czy reporterowi gazety mojego taty pozwolono by porozmawiać z policjantami, którzy brali udział w zasadzkach? To znaczy, zadać parę pytań na temat, jak to się odbywało?

Szef policji zamrugnął oczami.

- No cóż, Bob, nie widzę powodu, aby odmawiać. Chcesz skorzystać z wolności prasy, tak? Ale takim dziennikarzom należałoby oczywiście zapewnić pełną akredytację i zaopatrzyć ich w odpowiednie rekomendacje.

- Och, to wspaniale... - wykrzyknął Bob, a potem wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Będą mieli wszystko, co potrzeba, proszę pana.

Komendant Reynolds roześmiał się również, w chwilę potem jednak na jego twarz powrócił zwykły, poważny wyraz.

- Na razie, moi drodzy, mogę wam zdradzić tylko to, że moi ludzie i ja sam przeglądaliśmy wielokrotnie te raporty i nie znaleźliśmy w nich żadnego punktu zaczepienia. Obawiam się, że zmarnujecie tylko kawał swoich wakacji.

- Być może będzie tak, jak pan mówi, sir - powiedział Jupiter. - Ale chcielibyśmy mimo wszystko spróbować. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś, kto spogląda świeżym okiem, nie znajdzie czegoś nowego, co zostało przeoczone.

Komendant policji z kamiennym wyrazem twarzy skinął głową. Ale gdyby ktoś zajrzał mu w tym momencie w ocienione daszkiem policyjnej czapki oczy, ujrzałby w nich tańczące wesoło figlarne iskierki.

ROZDZIAŁ 9

Jednodniowi reporterzy

Już o ósmej rano następnego dnia czterej chłopcy zebrali się w domu Boba. Specjalista od dokumentacji i analiz poinformował swego ojca o wszystkim, co było potrzebne, i pan Andrews migiem zaopatrzył ich w wymagane upoważnienia i dziennikarskie dokumenty.

- Oficjalnie zatrudniam wszystkich was jako wolnych dziennikarzy lub, jeśli wolicie, jako szalejących reporterów - powiedział. - Będziecie otrzymywać wynagrodzenie w wysokości jednego dolara za dzień pracy i przeprowadzać wywiady z policjantami na temat prowadzonych przez nich działań, zmierzających do zidentyfikowania i ujęcia wandala tłukącego szyby w samochodach.

Pan Andrews wręczył następnie każdemu z chłopców czek na jednego dolara i oficjalną legitymację dziennikarską.

- Od tej chwili pracujecie dla mojej gazety, nawet jeśli miałyby to trwać tylko jeden dzień.

- Dzięki, tato - powiedział z rozpromienioną miną Bob. - W pełni doceniamy to, co dla nas zrobiłeś. Naprawdę.

Jego słowa utonęły w chórze radosnych okrzyków i podziękowań pozostałej trójki, po czym paczka młodych detektywów wskoczyła na rowery i ruszyła w kierunku śródmieścia, do komisariatu policji. Paul Jacobs dosiadał starego, zardzewiałego grata, wyciągniętego z zakamarków garażu ojca.

- Będziemy wchodzić tam pojedynczo - w czasie jazdy Jupiter wyjaśniał obmyśloną przez siebie strategię - i prosić o wywiad z policjantem, który brał udział w zasadzkach. Pamiętajcie, żeby okazać legitymację i kartę akredytacyjną, a gdyby były jakieś problemy, powiedzcie, że zgody na to udzielił nam sam komendant Reynolds. W ten sposób wejdziemy w kontakt z czterema różnymi policmajstrami. Okay?

- O co mamy ich pytać, Juve? - odezwał się trochę nie nadążający za tempem wydarzeń Pete.

- Powinniśmy starać się wyciągnąć z nich informacje o wszelkich niezwykłych, dziwnych czy nienormalnych zjawiskach, jakie mogły się tam wydarzyć i być może zwróciły ich uwagę - powiedział Jupiter. - Ale przede wszystkim potrzebne nam jest absolutnie wszystko, co zdołali zapamiętać na temat każdej z osób, które przechodziły w

pobliżu miejsc, gdzie urządzone były zasadzki.

Jako pierwszy do komisariatu wszedł Pete, a niedługo po nim Bob. Kiedy w ślad za Paulem wkroczył tam Jupiter, musiał użyć całej swej umiejętności przekonywania, łącznie z niezbyt delikatną sugestią, aby dyżurujący sierżant zadzwonił do komendanta Reynoldsa. Dopiero wtedy zdołał uzyskać pozwolenie na wywiad z kolejnym funkcjonariuszem.

Pete'owi udało się dopaść młodego policjanta, siedzącego już w patrolowym wozie, który za chwilę miał wyjechać na miasto, aby rozpocząć normalną, codzienną służbę.

- Zasadzki na tego wybijacza szyb w samochodach? Nie, chłopczyku, nie zauważyłem nic specjalnego. Ani żadnej podejrzanej osoby. To było zwyczajne marnowanie czasu. Zamiast siedzieć w krzakach i czatować na bandę jakichś niedorostków, powinniśmy byli ścigać wtedy prawdziwych przestępców.

- Czy jest pan pewien, że wybijaniem szyb w samochodach zajmują się wyłącznie dzieci? - zapytał Pete.

- Na to wychodzi, Crenshaw - odparł młody funkcjonariusz. - A ja, możesz być tego pewien, nie zamierzam przez całe życie telepać się tym patrolowym gruchotem. Moim ideałem poważnej policyjnej pracy, do jakiej czuję się powołany, nie jest bynajmniej urządzenie zasadzek na jakieś zdemoralizowane bachory, kapujesz?

- A co do przechodniów, których pan tam widział... Czy było ich wielu?

- Och, łąziło tam mnóstwo ludzi, w obie strony - powiedział funkcjonariusz służby patrolowej. - W gruncie rzeczy nie oglądaliśmy nic więcej, prócz ludzi nadchodzących to stąd, to stamtąd, przechodzących dalej, jeden za drugim, i tak w koło Macieju! Nikt nie zatrzymał się nawet na chwilę.

Ani nie rzucał niczym i nie walił żadnym młotkiem czy kijem w samochodowe szyby.

- Ale jak wyglądali ci przechodnie? - zapytał Pete. - Czy zapamiętał pan jakieś szczegóły?

- Oczywiście, że tak. Pamiętam wszystkich. Już niedługo będę wywiadowcą w wydziale dochodzeniowym, więc jak widzisz, muszę mieć dobrą pamięć. W każdym razie zapamiętałem tych najważniejszych.

- Zapiszę te informacje - powiedział Pete otwierając notes.

Młody kandydat na policyjnego detektywa rzucił okiem na notes i odchrząknął z lekkim zaniepokojeniem.

- No dobra, zobaczymy, co z tego wyjdzie. Kiedy zaczailiśmy się tam za pierwszym razem, hmmm, podjechał jakiś starszy facet w cadillacu, zaparkował samochód i kręcił się

przez jakiś czas w pobliżu, dopóki z jednego z domów nie wyszła elegancka pani. Zaraz potem oboje odjechali. Po nich, zaraz, zaraz... tak, po nich zjawily się dwie panie, spacerujące z psami, oraz dwóch rowerzystów. Jeden z nich miał na głowie kask i gogle, a w uszach słuchawki podłączone do czegoś w plecaku. Takie słuchawki są niebezpieczne, wiesz o tym? W całej kupie stanów istnieją przepisy, zabraniające używania słuchawek nagłośnionych albo wtykanych prosto w uszy w czasie jazdy samochodem, motocyklem albo rowerem.

- Kogo pan jeszcze widział? - dopytywał się nieustępliwie Pete.

- Kogo? Na dobrą sprawę nie mam pojęcia. Mnóstwo ludzi, którzy nie robili nic podejrzanego. Sam rozumiesz, wiedzieliśmy z góry, że sprawcami są jakieś małodaty, więc po co mielibyśmy przyglądać się tak dokładnie wszystkim przechodniom, no nie?

Sierżant, który zaprosił Boba do jednego z pokojów, służących do przesłuchań, poczęstował go puszką coca-coli i uśmiechnął się. Znał już Trzech Detektywów, ponieważ miał kiedyś z nimi do czynienia.

- Cóż to, Bob, przedzierzgnąłeś się w reportera? Zdawało mi się, że bawicie się wszyscy trzej w detektywów.

- Tak, panie sierżancie, nadal prowadzimy dochodzenia, ale teraz chcielibyśmy dowiedzieć się, co panowie widzieliście podczas policyjnych zasadzek. Komendant mówi, że nie może dać nam do przeczytania raportów.

- Rzeczywiście, w tym celu musielibyście uzyskać nakaz sądowy - potwierdził sierżant Trevino. - Czy szef wie, że zostaliście reporterami?

- Można by powiedzieć, że to był jego własny pomysł. - Wie pan, wolna prasa i te rzeczy.

Policjant roześmiał się.

- No to świetnie. A zatem słucham, co chcesz wiedzieć?

- Słyszeliśmy już, że nie przyłapaliście panowie nikogo na gorącym uczynku i nie zauważyliście lecących właśnie szyb. Ale czy pana uwagi nie zwróciło coś, co mogło się wydać podejrzanę?

- Nic, nawet jeden podejrzanę cień - odparł sierżant. - W czasie tych obserwacji widziałem tylko mieszkańców domów położonych w najbliższej okolicy. Podjeżdżali samochodami, parkowali i szli do siebie.

- W takim razie, co mógłby pan powiedzieć o ludziach i pojazdach, które tamtędy przejeżdżały nie zatrzymując się? Czy zapamiętał pan któreś z nich?

- Oczywiście. Mam to wszystko zapisane - powiedział sierżant Trevino, a potem wyjął z kieszeni na piersiach mały notesik i zaczął go kartkować. - Było dwóch mężczyzn w

zielonym cadillacu, którzy po prostu przejechali tamtędy; jakiś facet z brodą w szarym volkswagenie; chłopak na rowerze, doręczający gazetę; potem widziałem dwie starsze panie z małym chłopcem, który miał procę, następnie cztery osoby wyprowadzające na spacer swoje psy, a...

- Czy któraś z tych osób nie miała laski z metalową rączką i nie prowadziła wielkiego doga? - zapytał szybko Bob. - Mam na myśli tych spacerowiczów z psami.

Sierżant Trevino zajął się swego notesika.

- Nie, były tylko dwa pudle, zwyczajny i miniaturka, a poza tym jeden sznaucer i jeden doberman.

- Rozumiem - powiedział wyraźnie zawiedziony Bob.

Sierżant wrócił do odczytywania swoich notatek:

-A więc dwaj chłopcy w dresach, ćwiczący łapanie baseballowej piłki, potem długowłosa młodzieniec w sportowym porsche'u, mężczyzna na rowerze, w kasku, goglach i z plecakiem, z którego wystawały przewody słuchawek wetkniętych w uszy następnie trzech członków motocyklowego gangu o nazwie "Szara Śmierć", dwa chevrolety typu kombi, które zdawały się jechać razem, czterech amatorów joggingu w długich dresach, trzech facetów, którzy najwyraźniej zablądzieli gdzieś w drodze z pracy do domu, więc trochę się im spieszyło, doręczyciel kurierskich przesyłek pocztowych, wreszcie trzech chłopcy w harcerskich mundurach, którzy wrócili tą samą drogą dwie godziny później, potem jeszcze dwóch włóczęgów...

Paulowi wypadło robić wywiad z policjantem w pomieszczeniu z szafkami na cywilne ubrania, w którym przebierał się on po skończonej służbie. Był to niski mężczyzna z lotnego patrolu.

- No, młodzieńcze, jestem prawie gotów, żeby popędzić do domu. Nie wiem, co chciałbyś usłyszeć, ale podczas tych zasadzek nie wydarzyło się dosłownie nic.

- Postaram się nie zawracać panu głowy zbyt długo - obiecał Paul.

Policjant zmarszczył brwi.

- No dobra, mów szybko, co cię interesuje.

- Wiemy że nie zauważyliście panowie, aby podczas tych zasadzek ktoś tłukł samochodowe szyby Ale czy nie spostrzegł pan czegoś podejrzanego albo po prostu nienormalnego?

- Nic, dosłownie nic - odparł policjant, spoglądając nerwowo na zegarek, a potem wciągnął drugi motocyklowy bucior i zerwał się na równe nogi, gotów do wyjścia.

Paul pospieszył z następnym pytaniem:

- Czy może mi pan powiedzieć, kogo widział pan podczas tych zasadzek? Chodzi mi o ludzi, którzy przechodzili niedaleko miejsca, w którym byliście ukryci.

- Chcesz, żebym wymienił wszystkich? - zdumiał się funkcjonariusz z lotnej eskadry.

- Tak, psze pana, jeżeli ich pan pamięta.

- Chyba trochę przesadziłeś, mały! Chcesz, żebym opowiadał ci o wszystkich, którzy przechodzili tamtędy, nie robiąc nic złego? - Policjant ziewnął, zasłaniając dłonią usta. - Złożyłem po tamtej służbie raport, który był bardzo krótki. Nie wydarzyło się nic godnego uwagi. A teraz muszę już iść do moich zajęć, rozumiesz? - dodał kierując się ku drzwiom.

- Przykro mi, domyślam się, że trudno jest przypomnieć sobie szczegóły po tak długim okresie.

Niski, przypominający trochę wyścigowego dżokeja policjant stanął jak wryty i odwrócił się.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Myślisz, że nie mogę sobie przypomnieć niczego, co widziałem podczas tych zatraconych zasadzek? A przynajmniej rzeczy godnych zapamiętania, oprócz tych szarych ludzi łączących tam i z powrotem? Pamiętam wszystkie fałszywe alarmy

- Fałszywe alarmy? - powtórzył jednym tchem Paul.

Policjant kiwnął głową.

- Było parę momentów, które wyglądały naprawdę cacy

- Niech mi pan o nich opowie - powiedział błagalnym tonem Paul.

Znudzony już trochę funkcjonariusz spojrzał znowu na zegarek i westchnął.

- No dobrze, ale krótko. Nadszedł taki stary, duży pikap. Z tyłu siedziała gromada dzieciaków, które śpiewały i podnosiły niesamowity wrzask. W pół drogi między przecznicami, gdzie siedzieliśmy zaczajeni, samochód zatrzymał się i cała ta banda wyskoczyła na ulicę. Przez chwilę byliśmy pewni, że mają zamiar zabrać się do tłuczenia szyb w samochodach. W końcu jednak okazało się, że oni się tylko bawią. Urządzili sobie coś w rodzaju dzikiego korowodu i pognali jedno za drugim wężykiem, przełaząc przez płoty, okrążając hydranty, klucząc między krzakami, a nawet samochodami, wreszcie dotarli do rogu następnej przecznicy, powłazili z powrotem na tego starego gruchota i odjechali.

Paul szybko zapisał te informacje w notesie. Znużony już na dobre policjant ziewnął znowu, a potem wrócił do swej opowieści.

- Nadszedło też trzech punków z motocyklowego gangu, który oni sami nazywają "Szara Śmierć". Jechali naprawdę bardzo powoli, a potem zaczęli kręcić ósemki zaglądając do wszystkich samochodów, tak jakby szukali czegoś nadającego się do zwędzenia, tyle że

ani na moment żaden z nich się nie zatrzymał. W końcu minęli skrzyżowanie, ciągle kręcąc te kółka, i oddalili się.

Paul pochylił się nad swoim notesem. Po chwili kiwnął głową na znak, że może słuchać dalej. Młody policjant podniósł dłoń do ust, żeby ukryć kolejne ziewnięcie.

- Na koniec pokazał się ten drań na dziesięciobiegowej wyścigówce, cały wytapetowany jak jakiś goguś z Marsa. W uszach miał słuchawki, takie bez pałaka. Przez chwilę jechał bardzo powoli, robiąc wrażenie, jakby miał zamiar wyciągnąć coś spod kolarskiej koszulki. Potem jednak nacisnął na pedały i pojechał dalej.

Paul wsadził nos w swój notes, starając się jak najprędzej zanotować wszystkie szczegóły. Kiedy znowu podniósł głowę, stwierdził, że jest sam w pustej przebieralni. Znużony patrolowaniem miasta policjant wymknął się, żeby pojechać wreszcie do domu.

Elegancki porucznik Samuels spoglądał Jupiterowi prosto w oczy.

- Słuchaj no, Jones, powtarzam ci, że nie mam zaufania do dzieciaków, które myślą, że są na tyle bystre i sprawne, aby własnymi siłami rozwiązywać zagadki kryminalne. Mogą okazać się co najwyżej zdolne do naśladowania prawdziwych policjantów.

- Przykro mi, że tak pan sądzi, sir - powiedział grzecznie Jupiter. - Jednakże komendant Reynolds najwyraźniej nie zgadza się w tym względzie z panem. Już nieraz zdarzało się nam udzielić mu wartościowej pomocy w podobnych sprawach.

Na policzkach porucznika Samuela pojawiły się wyraźnie widoczne różowe plamy.

- Naprawdę uważasz, że takie dzieciuchy jak wy mogą dorównać wyszkolonym funkcjonariuszom policji?

- Być może nie pod każdym względem, sir. Ale czasami jesteśmy w stanie robić rzeczy niedostępne policji, dlatego że jesteśmy dziećmi.

Samuels zmierzył surowym spojrzeniem kręłą sylwetkę młodego detektywa, a potem odwrócił się i zrobiwszy parę kroków w kierunku swego fotela usiadł za biurkiem, wypełniającym prawie jedną trzecią jego służbowego pokoiku. Nie zaprosił jednak Jupitera, aby i on usiadł na krześle.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Tylko tego, żeby opowiedział mi pan o wszystkich ludziach, którzy przechodzili obok miejsc, w których urządził pan zasadzki.

- I to już wszystko? - zapytał sarkastycznym tonem porucznik. - Przecież rozumiesz chyba, że po tylu dniach nikt nie będzie pamiętał takich rzeczy, a pisemne notatki wchodzić potem do służbowego raportu, który jest tajny, jak ci to już raz powiedział komendant Reynolds.

- Rzeczywiście, powiedział mi, że sam raport jest tajny - zaznaczył Jupiter. -Ale stwierdził też, że zgadza się, abyśmy wy pytali panów o wszystko, co zawierały wasze meldunki. A ja jestem pewien, że pańskie notatki, panie poruczniku, musiały być bardzo precyzyjne.

Złapany najwyraźniej w pułapkę porucznik zakręcił się na swym obrotowym fotelu. W jego oczach pojawiły się złe błyski.

- No, dobra - rzucił przez zęby. - Ale za pięć minut rozpoczynam służbę. Jeżeli chcesz, możesz jeszcze do mnie przyjść za osiem godzin, jak skończę. Albo poproszę którąś z naszych sekretarek, żeby wypisała ci w wolnych chwilach te informacje z mojego notesu. Musiałbyś poczekać na nie na korytarzu.

Nie mając innego wyboru, Jupiter zdecydował się poczekać. Nawet sam komendant Reynolds zgodziłby się z tym, że służbowe obowiązki były ważniejsze od jakichś tam pogaduszek. Pierwszy Detektyw przez ponad trzy godziny siedział na twardej ławce w korytarzu, cierpliwie znosząc złośliwe uśmieшки porucznika Samuela, który co pewien czas wychodził w jakichś sprawach ze swego pokoju. Kiedy wreszcie miał w garści wypisane na maszynie notatki, po pozostałych chłopcach nie było już śladu na terenie komendy. Przeczytał je szybko, a potem zerwał się z ławki i popędził do swego roweru.

ROZDZIAŁ 10

Niewidoczny wandal

- Ten facet na wyścigówce! - krzyknął Pete.

- W kasku, goglach, z plecakiem i słuchawkami w uszach! - zawtórował mu jak echo Paul.

- Wszyscy trzej nasi rozmówcy powiedzieli, że widzieli go, jak przejeżdżał w pobliżu w czasie ich zasadzek - stwierdził Bob. - My też widzieliśmy go za pierwszym i za drugim razem!

Kiedy z uniesionego trapu wyłoniła się głowa Jupitera, a za nią i on sam, powitał go chór ożywionych głosów. Krępy szef zgranej paczki usiadł za biurkiem i wlepił wzrok w wielki plan miasta, poprzecinany prostymi liniami kolorowych pinezek.

- Porucznik Samuels widział go także - odezwał się po chwili. - Ale ani on, ani my nie zauważyliśmy, żeby robił coś podejrzanego. Czy któryś z gliniarzy przyłapał go na tłuczeniu szyb? Albo na czymkolwiek, co mogłoby się wydać podejrzanym?

- No wiesz - powiedział Paul - motocyklista z lotnego patrolu, z którym gadałem, powiedział mi, że przez moment wydawało mu się, jakby ten rowerzysta wyciągał coś spod kolarskiej koszulki.

- A jak siedzieliśmy tam za pierwszym razem, przyhamował i zrobił parę ósemek, gapiąc się na rolls-royce'a - dodał Bob.

- Ale nie zrobił nic poza tym - stwierdził Jupiter. - Być może co wieczór wraca on skądś do domu i żeby mu nie było nudno, wybiera sobie różne trasy.

- Myślisz, że on znalazł się w tych miejscach całkiem przez przypadek? - zapytał Pete tonem, w którym można było wyczuć rozczarowanie.

- Z drugiej strony - ciągnął Jupiter, którego oczy nagle pojaśniały - on jest jedyną osobą, którą widziano podczas wszystkich zasadzek. A ponieważ nigdy nie zdarzyło się, żeby ktoś tłukł szyby tam, gdzie czatowała policja, nie można wyeliminować go z kręgu podejrzanych tylko dlatego, że on ich nie rozwalał na oczach policjantów. Jasne jak plamy na słońcu.

- Myślisz, Jupe, że ten chuligan może wiedzieć, w których miejscach policjanci prowadzą obserwację? - zapytał Bob.

- Tak mi to wygląda - kiwnął głową Jupiter.

- Ale przecież nie wyleciała żadna szyba także i wtedy, kiedy my sami siedzieliśmy w

tych krzakach na Yalerio Street - wtrącił Pete.

- Policja także zaczęła się w tamtym miejscu - zwrócił mu uwagę Jupiter.

- Masz na myśli to, że on mógł nie wiedzieć o nas, ale wiedział o policjantach?

- Dokładnie tak - odparł Jupiter. - Na razie facet na wyścigówce jest naszym głównym podejrzanym. Teraz zostaje nam tylko udowodnić, że to on jest sprawcą.

- Świetnie - stwierdził Pete unosząc głowę. - Tylko jak to zrobić?

- Masz tu jakiś pomysł, szefie? - zapytał Bob.

Zanim Jupiter zdążył otworzyć usta, aby mu odpowiedzieć, do rozmowy włączył się Paul, który siedział z coraz bardziej zakłopotaną miną.

- Ale jeżeli szyby tłucze ten gość na rowerze, to jak on to robi? - zapytał. - Jak to się mogło stać, że ja go nie zauważyłem. To znaczy, jeżeli on nie zatrzymuje się, żeby walnąć czymś w upatrzone okno samochodu, to w jaki sposób udaje mu się je roztrzaskać? A jeżeli się zatrzymuje, to dlaczego nie zobaczyłem go wtedy, gdy do moich uszu doszedł brzęk lecącego szkła?

Bob spojrzał na Jupitera.

- Powiedz, szefie, jak ty byś to zrobił, gdybyś chciał rozbić okno w czasie jazdy na rowerze?

- Albo gdybyś zatrzymał się, żeby je rozwalić, ale tak, żeby nikt cię nie zobaczył? - dodał Pete. - Znaczy się, nie wkładając na głowę czapki-niewidki? - Drugi Detektyw zawiesił głos, tak jakby coś utkwilo mu w gardle. - Przepraszam, chłopaki, zdaje się, że się trochę zagalopowałem.

- Wydaje mi się, Pete, że spokojnie możemy wyeliminować wszystkie czapki-niewidki. Może z wyjątkiem jakiegoś psychologicznego triku - odparł Jupiter, a potem spojrzał na Paula. - Wiem, że po tym, jak usłyszałeś brzęk szkła, nie zauważyłeś nikogo w pobliżu furgonetki. Ale może dostrzegłeś jakiś ruch na jezdni? Na ułamek sekundy przed roztrzaskaniem okna? Jakiś cień poruszający się w stronę rogu najbliższej przecznicy? Coś, co przemknęło ci tylko przed oczami, tak że nie zdążyłeś tego czegoś naprawdę zobaczyć?

Paul zmarszczył brwi i przymknął do połowy powieki, tak jakby chciał na siłę wydobyć ze swej pamięci obraz tamtej ciemnej i mglistej nocy.

- Tak jak powiedziałem, nie zauważyłem nikogo przy samej furgonetce. I jestem pewien, że nic podejrzanego nie działo się także na jezdni. To znaczy, nie zobaczyłem nic... - głos starszego o parę lat chłopaka zamarł na chwilę, a bruzdy między jego oczami zaczęły się powoli pogłębiać. - Zaczekajcie! Może rzeczywiście coś tam było... jakiś poruszający się cień. Na ulicy, w pewnej odległości od przedniej szyby furgonetki. Coś po prostu szybko

mignęło, kapujecie? Ale nie samochód czy jakiś inny pojazd... Może, może... jakaś sylwetka?

- Tak jak to się zdarza z różnymi wrażeniami, których nie można sobie przypomnieć dokładnie? - starał się mu podpowiedzieć Jupiter.

- Tak - kiwnął głową Paul. - Na pewno coś widziałem - dodał, starając się ze wszystkich sił przywołać z zakamarków pamięci obraz ciemnej ulicy. - Ale... kiedy to coś rozplynęło się w ciemności, natychmiast o tym zapomniałem.

Jupiter kiwnął ze zrozumieniem głową.

- Tak, wszyscy mamy skłonność do niezauważania rzeczy, ludzi czy zjawisk, które oglądamy każdego prawie dnia i które stają się dla nas czymś najzwyczajnym w świecie. Tak zwyczajnym, że w chwilę potem, jak je zobaczyliśmy, nie zdajemy sobie sprawy, żeśmy je w ogóle widzieli. Zapominamy o nich w momencie, w którym znikają nam sprzed oczu. Mam na myśli takich ludzi, jak listonosz, śmieciarz, inkasent z elektrowni, chłopiec na posyłki, łażący od drzwi do drzwi komiwojażer, no i także rowerzysta, jadący wieczorem ulicą. Zwłaszcza że naszą uwagę odciąga brzęk tłuczonej szyby. Patrzymy na takiego rowerzystę, nie przyglądając mu się zbyt, i w tym momencie wypada z hałasem szyba. I nasza uwaga koncentruje się na tym, a rowerzysta całkiem wylatuje nam z pamięci. Psychologiczna ślepotą. Albo czapka-niewidka, jak kto woli.

- Ale to by oznaczało, szefie, że on się nie zatrzymuje, żeby roztrzaskać szybę - powiedział Bob. - Więc jak to robi w pełnym biegu?

- I w jaki sposób zawsze udaje mu się ominąć odcinek ulicy, na którym czatują policjanci? - zamyślił się głośno Pete.

- Zebraliśmy jeszcze za mało danych, aby odpowiedzieć na te pytania - odparł Jupiter - ale mam już parę pomysłów. Chciałbym jeszcze raz pogadać z komendantem Reynoldsem, no i dokładnie obejrzyć furgonetkę Paula.

- W porządku - stwierdził Paul. - Możesz to zrobić, kiedy tylko chcesz. Teraz stoi przed sklepem, a ojciec wyjechał z miasta.

- Poczekaj, Jupe - zaprotestował Bob. - Nie powiedziałaś nam dotąd ani słowa o tym, w jaki sposób udowodnimy, że szyby rozbija ten rowerzysta. Jeśli to w ogóle on.

- Złapiemy go na gorącym uczynku - oświadczył Jupiter.

- Użyjemy do tego jeszcze raz "Systemu połączeń duch z duchem".

- Masz zamiar prosić wszystkie dzieciaki, żeby wyczekiwały na niego i przyglądały się, co on robi? - zapytał Pete.

- To właśnie mam na myśli - stwierdził ponuro Jupiter. - Tym razem wiemy przynajmniej dokładnie, o obserwację jakiego obiektu będziemy je prosić. I jeżeli tym

wandalem jest rzeczywiście rowerzysta, "System połączeń" powinien udowodnić to bez większych problemów.

- Chyba że i tym razem facet się dowie, że te wszystkie dzieciaki go obserwują, tak jak to było przedtem z policją - zauważył Pete.

- Może ma jakiś aparat na promienie rentgenowskie, albo na podczerwień, i dzięki temu widzi w ciemnościach! Może jest obdarzony nadprzyrodzonymi zdolnościami i niczym medium podczas seansu hipnotycznego potrafi czytać w myślach ludzi, którzy go obserwują!

- Podejrzewam, Pete, że nasz wandal dowiaduje się o ruchach policji w znacznie prostszy sposób - powiedział Jupiter. - Jak by nie było, i tak nie będziemy mogli uruchomić naszych planów aż do poniedziałku. A wcześniej on i tak nie uderzy.

- To fajnie - stwierdził Pete. - Moi starzy zapowiedzieli, że zabierają mnie na weekend gdzieś za miasto.

- A ja muszę się zająć sklepem aż do powrotu ojca - oświadczył Paul. - Przez cały weekend będę więc mocno zajęty.

- No to proponuję, żebyśmy nie tracili czasu i pojechali od razu obejrzeć twoją furgonetkę - powiedział Jupiter.

Kiedy cała paczka była już w połowie Łatwej Trójki, dał się słyszeć dzwonek telefonu. Zaskoczeni chłopcy popatrzyli po sobie. Z wyjątkiem okresów, w których organizowany był "System połączeń", telefon w Kwaterze głównej nie odzywał się prawie nigdy. Podniósłszy słuchawkę, Jupiter włączył głośnik.

- Halo? Tu agencja Trzech Detektywów - przedstawił się najpoważniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

- Hmm... tego... -o dezwał się wyraźnie podenerwowany głos, który wydał się chłopcom znajomy. - Czy mogę mówić z panem Jupiterem Jonesem?

- Jestem przy telefonie - odparł dumnym głosem Pierwszy Detektyw,

- Ach, to ty, nie poznałem. Mówi Willard Temple. Wczoraj wieczorem poznaliśmy się przed domem mojego stryja Jarvisa.

- Tak, przypominam sobie. Czym mogę panu służyć?

- Mój stryj przeanalizował to, co powiedział mu o was komendant Reynolds, i zastanawia się, czyby nie wynająć was do pomocy przy szukaniu tego orła. Prosił, żebym do was zadzwonił i zapytał o wysokość waszego honorarium.

- Nie bierzemy pieniędzy, proszę pana. Po prostu pomagamy różnym ludziom w rozwiązywaniu ich problemów i jeśli ci ludzie uważają za stosowne wręczyć nam jakąś sumę, żeby ułatwić nam dochodzenie, to najzupełniej nam wystarczy.

- Rozumiem. Muszę przyznać, że brzmi to całkiem rzetelnie i honorowo. Mój stryj, hmmm, jeszcze się ostatecznie nie zdecydował. Nie moglibyście przyjechać tu teraz, żeby dokładnie omówić sprawę?

- Teraz? No dobrze, przyjedziemy.

- Wiecie, który to dom? Valerio Street 140.

- Niedługo tam będziemy, panie Temple - powiedział Jupiter.

Jego trzech przyjaciele ochoczo machnęli czuprynami.

ROZDZIAŁ 11

Dziwna rozmowa

Dom przy Valerio Street 140 znajdował się tuż koło domu przyjaciela Paula, po prawej stronie ulicy i prawie całkowicie ukryty był za drzewami i krzakami, w których poprzedniego wieczoru urządziła zasadzkę policja. Chłopcy zostawili rowery na poboczu dróżki dojazdowej, na której spokojnie drzemał duży, czterodrzwiowy buick. U jego krańca, w garażu, chłopcy zobaczyli bardzo starego cadillaca, który wyglądał tak, jakby od lat nie ruszał się stamtąd. Pokrywą silnika i przednią szybę zasłaniała plandeka.

Do domu prowadziła wysypana żwirem ścieżka, wijąca się lekko pośród drzew i krzewów. Z powodu tak wielkiej ilości zieleni ulica była prawie niewidoczna z ganku. Jupiter nacisnął na dzwonek i czterej chłopcy stanęli opodal drzwi, oczekując ich otwarcia. Z wnętrza domu nie dobiegł ich jednak żaden odgłos.

- Jesteś pewien, że on kazał nam przyjechać od razu? - zapytał Pete.

- Tak, tak właśnie powiedział - odparł Jupiter.

Nagle gdzieś z głębi domu dobiegły chłopców jakieś krzyki. Wyglądało to tak, jakby dwie rozzłoszczone osoby kłóciły się, stojąc jedna daleko od drugiej. Jupiter znowu nacisnął dzwonek, tym razem kilkakrotnie. Nadal nikt się nie zjawiał, ale krzyki ucichły.

- Może ten dzwonek nie działa - odezwał się Bob.

- Albo ci, co tu mieszkają, korzystają z jakiegoś bocznego wejścia - próbował domyślić się Pete.

Chłopcy wrócili na podjazd i zaczęli się rozglądać za bocznym albo tylnym wejściem. Po tej stronie domu, naprzeciwko garażu, nic takiego jednak nie było.

- Co to może być? - zapytał Paul wyciągając do przodu szyję.

Na odkrytym podwórzu za domem stał duży, o ponadmetrowej średnicy spodek. Trzy długie i cienkie nogi podtrzymywały go tak, jakby chciały go unieść ku niebu.

- Antena satelitarna - wyjaśnił Jupiter.

- Ona odbiera sygnały wysyłane przez sztuczne satelity, krążące w przestrzeni kosmicznej - popisał się swoją wiedzą Bob. - Satelita odbija sygnały telewizyjne i radiowe, dzięki czemu można tu odbierać na żywo programy nadawane z Nowego Jorku czy Europy, a nawet z Chin. Mając taki spodeczek, można łączyć bez płacenia firmom, które zakładają kable.

- Zdaje się, że słyszysz Jarvisa Temple'a - powiedział Pete.

- Gdzie jesteście, chłopcy?

Wołanie dochodziło od frontu. Chłopcy ruszyli biegiem z powrotem do głównych drzwi. Na schodach zobaczyli Willarda Temple'a, który rozglądał się z zakłopotaną miną.

- No, jesteście wreszcie.

- Nikt nie reagował na dzwonek - wyjaśnił Jupiter - poszliśmy więc poszukać innych drzwi.

- Byłem w tylnej części domu, żeby odebrać polecenia od mego stryja. Proszę do środka.

Niski, kościsty bratanek starego pana Jarvisa Temple'a poprowadził chłopców do przestronnego holu, połyskującego wypolerowanym parkietem, a potem przez rozsuwane drzwi do dużego, urządzonego konwencjonalnie salonu, pełnego brzydkich, staromodnych mebli. Willard Temple i tym razem miał na sobie ciemny, urzędniczy garnitur. Znalazłszy się na środku pokoju, odwrócił się i uśmiechnął z przymusem.

- Mój stryj nie czuje się dziś zbyt dobrze i postanowił trochę odpocząć. Poprosił mnie, żebym omówił z wami sprawę waszego udziału w poszukiwaniach tej monety.

- Właściwie to my już rozpoczęliśmy dochodzenie - powiedział Bob. - Pomagamy Paulowi schwytać łobuza, który wybija szyby, a te dwie sprawy się łączą.

- Rzeczywiście - przyznał Willard Temple. - Jakoś to przeoczyłem.

- Jednakże - wtrącił szybko Jupiter - nie widzę żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy spróbować odnaleźć przy okazji waszego orła:

Gdybyśmy się dowiedzieli, gdzie mogła być sprzedana ta moneta i kto mógł ją kupić, byłoby nam może łatwiej złapać wandalę od szyb samochodowych.

- O, holender! - odezwał się Pete. - Czy rzeczywiście byłoby tak łatwo ją sprzedać? Mam na myśli to, że przecież wszyscy wiedzą o niej wszystko, no nie? Każdy z miejsca zorientowałby się, że została ukradziona. Więc kto byłby na tyle głupi, żeby kupować taki towar?

- Wiesz, Pete, nie brakuje kolekcjonerów, którzy nie przejmują się takimi drobiazgami - powiedział Jupiter. - Oczywiście, większość z nich nie spojrzalaby nawet na tę monetę, ale na pewno znalazłoby się przynajmniej kilku, którzy chcieliby ją mieć bez względu na wszystko. Po prostu po to, żeby ją posiadać. Żeby co pewien czas popatrzeć na nią we własnym domu... Nie zwierzając się nawet nikomu, że coś takiego wpadło im w ręce.

Willard Temple kiwnął głową.

- Tak, chłopcy, wasz kolega ma rację. Takich zbieraczy jest wprawdzie niewielu, ale niektórzy z nich są bardzo bogaci i mogą zapłacić niemal każdą cenę. A jeżeli chodzi o to, gdzie ta moneta mogłaby być sprzedana, to trzeba by zwrócić uwagę na paru dealerów, którzy

zajmują się tego rodzaju podejrzanymi transakcjami i są w stałym kontakcie z takimi kolekcjonerami bez skrupułów.

- Mimo wszystko - stwierdził Jupiter - byłoby to trudne. Złodziej mógłby przecież wiedzieć, w jaki sposób skontaktować się z nieuczciwym zbieraczem czy pośrednikiem.

- A nawet bardzo trudne - zgodził się Willard Temple. - Nie można wykluczyć, że obraca się on swobodnie w całym świecie kolekcjonerów monet.

- A może pan mógłby nam podać nazwiska paru takich nielegalnych dealerów? - zapytał Jupiter. - Wzięlibyśmy ich pod obserwację.

- Ja? - Młody przedstawiciel rodu Temple'ów potrząsnął przecząco głową, a potem zaczął nerwowo przeczesywać palcami swe kasztanowe włosy. - Nie, obawiam się, że moja znajomość środowiska zbieraczy monet jest bardzo ograniczona. Nigdy zresztą hobby mojego stryja nie obudziło we mnie specjalnego zainteresowania.

- Będziemy więc musieli zapytać jego samego - powiedział Jupiter.

Willard Temple zamrugał oczami.

- Mojego stryja? Ależ tak, oczywiście. Jak tylko zdecyduje się skorzystać z waszych usług - stwierdził spoglądając na zegarek. - A więc...

Jupiter rozejrzał się po staromodnym salonie.

- Czy nie moglibyśmy rzucić okiem na jakieś inne monety z kolekcji pańskiego stryja? Żeby się lepiej zorientować, czego właściwie szukamy? Ale widzę, że tu ich nie ma.

- Och, rzeczywiście, przechowujemy je w jego gabinecie - odparł Willard Temple i znowu zerknął na zegarek.

- Czy mógłby pan pokazać nam choć kilka z nich? - nie dawał za wygraną Jupiter.

- Pokazać? Tak, oczywiście. Proszę za mną.

Rzekłszy to, młody Temple wskazał chłopcom drzwi do głównego holu, a potem poprowadził ich do pokoju położonego na jego drugim końcu. Wyjąwszy z kieszeni klucz na kółku, otworzył drzwi. Niewielki gabinet wypełniony był mahoniowymi regałami z książkami. Na podłodze leżał gruby brązowy dywan, na którym stało kilka rzędów szklanych gablotek, pełnych wszelakiego rodzaju monet, spoczywających na warstwie granatowego aksamitu. Willard Temple wskazał dłonią jedną z gablotek.

- Tu znajdują się monety amerykańskie. Ta na samej górze po lewej stronie, to jedyny już teraz podwójny orzeł z kolekcji stryja Jarvisa. Ale nie ma on, nawet w przybliżeniu, takiej wartości, jak tamten.

Chłopcy zbili się w ciasną gromadkę i pochylili głowy nad gablotką, aby przyjrzeć się wielkiej, złotej monecie, ułożonej w miękkiej, aksamitnej kołysce. Pałące się w gabinecie

światło odbijało się w niej niczym w lustrze. Złoty krążek, mniej więcej wielkości srebrnej dolarówki, ukazywał profil orła w locie, z uniesionymi nad głową skrzydłami, zwróconego ku rozchodzącym się półkuliście promieniom wschodzącego słońca.

- Ile ona ma lat? - zapytał Bob.

- To jest egzemplarz z roku 1909 - wyjaśnił Willard Temple. - Data wybita jest na drugiej stronie, wraz ze Statuą Wolności. Piękna moneta, ale warta jedynie jakieś osiemnaście tysięcy dolarów.

Pete gwizdnął cicho przez zęby.

- Jak na mój gust, to całkiem niezła cena. Przecież to nie jest jakiś bardzo stary rocznik.

- Wartość nie zależy od daty wybicia, tylko od tego, jak rzadki jest dany egzemplarz i jaki jest jego stan. Na początku tego stulecia nie wypuszczano już dużej liczby złotych monet, ponieważ papierowy pieniądz stał się bardziej popularny od bitego w metalu.

- Ale dlaczego wasz skradziony orzeł wart jest aż tyle? - zapytał Paul. - ćwierć miliona dolarów to niewiarygodna suma!

- Och, on ma supergłębokie bicie. Oznacza to, że i orzeł, i Statua Wolności wystają znacznie wyżej z tła. Rysunek jest ten sam, według projektu Augustusa Saint-Gaudensa, ale wersja z supergłębokim biciem została wyemitowana tylko raz, w 1907 roku. To nadzwyczaj piękny okaz, i do tego niezwykle rzadki.

- Czy ten skradziony orzeł leżał w jakimś pudełku? Jak ono wyglądało? - zapytał Bob.

- To było czarne, skórzane etui do monet, wielkości pudełka papierosów, z dwoma małymi zawiasami i zamkiem otwieranym guzikiem - wyjaśnił Willard Temple. - W środku znajduje się taka sama aksamitna wyściółka, jak w gablotce. Ale moneta włożona była do przezroczystego plastikowego pokrowca, żeby się nie ścierała.

Słuchając objaśnień, Bob, Pete i Paul stali wpatrzeni we wspaniały złoty krążek. Jupiter rozglądał się po całym pokoju.

- Proszę pana - zapytał nagle. - Nie widziałem w tym domu ani jednego telewizora.

- Mój stryjasek nienawidzi telewizji - roześmiał się Willard Temple. - Nigdy nie dopuści, żeby w jego domu znalazł się choćby jeden odbiornik.

- W takim razie do czego służy antena satelitarna na dziedzińcu?

- Antena? - Zaskoczony młody człowiek znowu zamrugął oczami. - Och, Sarah i ja mamy telewizor w naszej bawialni. Szkoda, że stryj położył się właśnie tam, żeby odpocząć... Pokazałbym wam, jak fantastycznie odbiera się program przez satelitę.

- Rozumiem - kiwnął głową Jupiter. - Czy będziemy musieli przyjść jeszcze raz, czy

też pan sam zaangażuje nas w imieniu swego stryja?

- Myślę, że... - zaczął Willard Temple.

Drzwi gabinetu otworzyły się nagle i w progu ukazał się stary Jarvis Temple we własnej osobie. Oparłszy się na lasce, wlepił w chłopców gniewne spojrzenie.

- Co robicie w moim gabinecie? - wrzasnął z całej siły, a potem utykając wszedł do środka. - Przyszliście upatrzeć sobie następną monetę do zwędzenia?

- Pozwolił nam tu zajrzeć pana bratanek, sir - odparł spokojnym tonem Jupiter. - Jeżeli mamy pomagać panu w odnalezieniu pańskiego orła, to musimy wiedzieć, jak on wygląda. Gdyby mógł nam pan powiedzieć teraz...

- Pomagać w odnalezieniu mojego orła? - Rozczochrany, powiewający kosmykami siwych włosów staruszek wybałuszył na Jupitera oczy, w których malowało się najwyższe zdumienie. - Nie pozwoliłbym takim czterem obwiesiom jak wy zbliżyć się nawet na kilometr do mojego orła! Wynosić mi się z mojego domu!

- Ale pana bratanek... - zaczął Jupiter.

- Zadzwoił do nas - rzucił gorączkowo Pete. - I powiedział, że pan chce nas wynająć i omówić to z nami! Nie przyje...

Na policzkach Jarvisa Temple'a pojawiły się purpurowe plamy.

- Mój bratanek kłamał! Wynająć was? Ani mi to w głowie! Wynosić się, powtarzam! - rzucił wściekle, a potem uniósł groźnie laskę i ruszył w kierunku zbitej w gromadkę, zalęknionej czwórki. Ale zanim zdążył osiągnąć któregoś z nich, do pokoju wbiegła Sarah Temple i wyrwała laskę z dłoni rozwścieczonego starca.

- Stryjku! Co ty wyprawiasz? - rzuciła w jego kierunku, a potem stanęła z laską w dłoni, wpatrując się w niego z przerażeniem w oczach.

Jarvis spojrzał na nią gniewnie.

- Nie mam pojęcia, o co wam obojgu chodzi, ale żądam, aby ci czterej młodociani przestępcy natychmiast opuścili mój dom!

Wyrzuciwszy to z siebie jednym tchem, starszy pan złapał znowu laskę i wyszedł znowu z gabinetu. Willard i Sarah odprowadzili go skonsternowanym wzrokiem. Ciemnowłosa dziewczyna, o parę centymetrów wyższa od swego starszego kuzyna, i tym razem miała na oczach przeciwsłoneczne okulary, ale ubrana była w czerwony, obcisły dres, tak jakby przerwała właśnie jakieś ćwiczenia sportowe. Popatrzyła smutno za stryjem.

- Bardzo nam przykro, chłopcy. Mój stryjasek miewa ostatnio zaniki pamięci. Na pewno z powodu stresu po utracie tego podwójnego orła. Sama słyszałam, jak prosił Willarda, żeby zadzwonił do was. Ale najwidoczniej wypadło mu to z głowy. Wydaje mi się,

że dopóki nie odzyska jakiejś takiej równowagi, lepiej będzie nie angażować was oficjalnie.

Willard Temple skinął głową.

- Gdyby zmienił zdanie, zadzwonię do was.

Znalazłszy się przed masywnym, wiktoriańskim budynkiem, chłopcy spokojnie pomaszrowali do miejsca, w którym zostawili rowery.

- Patrzcie go! - odezwał się Paul. - Staruszek zapomniał na śmierć, że kazał temu Willardowi zadzwonić do nas.

- Zastanawiające... - mruknął Pete. - Mówcie, co chcecie, ale dziadek wcale mi nie wyglądał na starego sklerotyka.

- Tak, masz rację - przyznał w zamyśleniu Jupiter, przypatrując się zaparkowanemu na podjeździe małemu, czerwonemu datsunowi. - Jak by nie było, nie traćmy lepiej czasu i pojedźmy obejrzeć wreszcie furgonetkę Paula, zanim się nie ściemni.

ROZDZIAŁ 12

“System połączeń duch z duchem” po raz drugi

Szara półciężarówka zaparkowana była w wąskim pasażu za należącym do pana Jacobsa sklepem z używanymi meblami. Chłopcy dokładnie przeszukali siedzenie i podłogę pod tablicą rozdzielczą, a potem także wewnątrz skrzyni.

- Zdaje się, że skrawek papieru nie byłby w stanie wybić szyby - powiedział Pete, podnosząc do góry pogniecione strzępy, znalezione pod siedzeniem.

- Raczej nie, proszę pana Drugiego Detektywa - stwierdził sucho Jupiter.

- A co myślicie o pustych puszkach po coli? - odezwał się Bob spod tylnych drzwi, koło których znalazł właśnie całą ich kolekcję.

- Och, w robocie często chce mi się pić - wyjął swym nowym kolegom Paul. - A potem zapominam o wyrzuceniu pustych puszek. Mój stary dostaje na ich widok białej gorączki.

- A to, co to może być? - zapytał Pete, unosząc w dłoni mały zdeformowany okruch metalu wielkości mniej więcej sporej pinezki. Bob ujął dziwny kształt w dwa palce i podniósł go do oczu.

- Przypomina takie małe okrągłe ciężarki, jakie zakłada się na żyłkę na okonie, które żerują w wodorostach, tuż nad dnem.

- Wygląda to tak, jakby zostało zmiażdżone pod butem - zauważył Paul, przyglądając się metalicznemu okruchowi.

- Tak, zgnieciony ciężarek wędkarski - stwierdził Jupiter mrużąc oczy nad dziwnym znaleziskiem. - Ale nie z ołowiu. Poza tym wygląda tak, jakby przed zgnieceniem był pusty w środku. Przynajmniej częściowo.

- Może to była zakrętka albo korek od jakiegoś małego pojemniczka - próbował odgadnąć Pete. - Wiecie, na olejek do opalania albo na klej czy coś w tym rodzaju.

Bob jeszcze raz uniósł do oczu mały przedmiot.

- Widzicie te prążki z jednej strony? Jestem pewien, że już to gdzieś widziałem, ale nie mogę sobie przypomnieć, co to było.

- No cóż - powiedział Pete - w każdym razie to jest za małe, żeby rozbić szybę. Mimo wszystko zatrzymam to przy sobie. Może to jest kawałek czegoś większego?

Stwierdziwszy to, Drugi Detektyw wziął od Boba zagadkowy okruch i wrzucił go do kieszonki na piersiach. Chłopcy zabrali się znowu do przeszukiwania furgonetki. Tu i tam

walały się jakieś elastyczne opaski, drobne monety, pomięte kwity kredytowe ze stacji benzynowych i przeróżne śmieci, jakie tylko mogą się znaleźć na podłodze samochodu, służącego do przewożenia starych mebli. Nie było jednak żadnego wystarczająco dużego przedmiotu, który mógłby wpaść do środka przez zamknięte okno. Oczywiście tłukąc je po drodze. Chłopcy jeszcze raz rozejrzeli się po wnętrzu, po czym dali za wygraną. Kiedy uścisnęli dłoń Paula i wskoczyli na rowery, żeby wrócić do składnicy złomu, robiło się już szaro. Przed wejściem do kantorku stała ciocia Matylda, która przywołała Jupitera palcem wskazującym.

- Dzwonił do ciebie jakiś Willard Temple. Prosił, żeby ci powiedzieć, że jego stryj zmienił całkowicie zdanie i że przeprosza was za to, że wam zawracał głowę. Mam nadzieję, że wiesz, o co chodzi.

- Rany Julek - jęknął Pete - a już myślałem, że znaleźliśmy klienta płacącego prawdziwymi forsiakami.

- Jeżeli znajdziemy tę jego monetę, będzie się nam należała przynajmniej nagroda - pocieszył go Bob.

- Ciociu Matyldo? - zapytał Jupiter, kładąc nacisk na każde niemal słowo. - Czy nie zauważyłaś w ciągu dnia jakiejś podejrzaney osoby, która mogła się kręcić koło składnicy? A może wchodziła na słup telefoniczny?

- Podejrzanego typka? Nie widziałam tu żywego ducha - odparła zapytana.

- No, może nie zachowującego się tak znowu dziwnie czy podejrzenie - sprecyzował Jupiter. - Ale czy aby na pewno nikt nie wchodził na ten słup, tam, dalej? - zapytał znowu, wskazując ręką na słup, do którego przyłączone były wszystkie kable wychodzące ze składnicy.

- Nie, nikt - pokręciła głową ciocia Matylda. - Oczywiście z wyjątkiem montera z centrali telefonicznej.

- O której on tu był, ciociu? - zareagował błyskawicznie Jupiter.

- No, tak po południu. Zdaje mi się, że zjawił się na krótko przed waszym wyjazdem, ale nie jestem tego pewna. Kto by zwracał uwagę na faceta od telefonów?

Kiedy cała trójka znalazła się w miejscu, z którego ciocia Matylda nie mogła usłyszeć żadnego z chłopców, Pete trącił Jupitera w łokieć.

- Co to za historia z tym facetem od telefonów, szefie?

- Może masz na myśli to, że to wcale nie był prawdziwy monter z centrali telefonicznej? - przyłączył się Bob. - Tylko ktoś, kto chciał rozejrzeć się po składnicy?

- To bardzo prawdopodobne - odparł Jupiter. - Ta sprawa będzie jednak musiała

poczekać. Ponieważ nie jesteśmy w stanie zrobić nic więcej aż do poniedziałku wieczorem, proponuję, żebyście przeznaczyci najbliższy weekend na przeanalizowanie podstawowego problemu: czy wandelem, który tłucze szyby, może być mężczyzna na rowerze? A jeśli tak, to w jaki sposób to robi i dlaczego. A także, w jaki sposób udaje mu się za każdym razem dowiedzieć, w którym miejscu czatuje policja?

- Nie zaplanowałeś na te dwa dni nic więcej, Jupe? - zapytał Bob.

- Nie, nie, Bobciu, jeśli nie liczyć wizyty u komendanta Reynoldsa. Pete wyjeżdża za miasto, a Paul zajęty jest w sklepie, więc i tak nie udałoby się nam wiele zdziałać.

Cała czwórka z niecierpliwością wyglądała poniedziałku, nie mogąc doczekać się podjęcia nowych działań. Wczesnym rankiem tego dnia wszyscy spotkali się w Kwaterze Głównej i aż do wieczora przygotowywali powtórzenie "Systemu połączeń". Biorące w niej udział zaprzyjaźnione dzieciaki otrzymały dokładny opis wysokiego mężczyzny na dziesięciobiegowej wyścigówce, zostały też poproszone o przekazanie tego opisu swoim z kolei kolegom i przyjaciołom, którzy mieli przekazać go następnym kręgom, i tak dalej. Wszystkich uczestników poproszono, aby byli gotowi na jego pojawienie się, a potem starali się obserwować jego zachowanie. Wszystkich poinstruowano też, aby w miarę możliwości pozostali w swoich domach, albo przynajmniej prowadzili obserwację z dobrze zakonspirowanych kryjówek. Wreszcie Jupe włączył automatyczną sekretarkę, której zadaniem było nagrywanie na taśmę nadchodzących raportów, oraz podłączył do niej głośnik. O zmierzchu wszystko było związane na ostatni guzik.

Było już prawie ciemno, kiedy czterej chłopcy, po kolacji zjedzonej we własnych domach, zebrali się znowu w Kwaterze Głównej. Usiedli wokół automatycznej sekretarki i zaczęli czekać. Minęła ósma. Pełni wewnętrznego napięcia rozmawiali szeptem, tak jakby się bali, że ktoś może ich usłyszeć...Albo jakby sami byli obserwatorami, stanowiącymi oczka siatki duchów, obejmującej swym zasięgiem całe miasto. Kwadrans po ósmej. Pół do dziewiątej...

Nagle ozwał się dzwonek telefonu. Z głośnika popłynął głos pierwszego obserwatora...

- Rowerzysta w kasku i goglach, ze słuchawkami w uszach i plecakiem na Olive Street, koło bloku domów zaczynających się od numeru 1400! Właśnie w tej chwili wyleciała szyba samochodowa! Nie zauważyłem, żeby człowiek na rowerze wykonał jakikolwiek ruch!

Na twarzy Pete'a pojawił się wyraz rozczarowania i zawodu.

- On nie zrobił żadnego ruchu!

- Rzeczywiście, nie zrobił - potwierdził Jupiter, zagryzając dolną wargę. - Ale był

tam!

Telefon zadzwonił znowu.

- Koło bloku domów od numeru Olive Street 1300 przejechał właśnie człowiek na rowerze. Wyleciała przednia szyba starego forda! Rowerzysta nie zatrzymał się!

- Nie zatrzymał się! - powtórzył jak echo Paul.

- Ale w momencie, gdy przejeżdża, wylatują szyby! - zauważył Bob.

- Roztrzaskana szyba w niebieskim mercedesie stojącym naprzeciwko Olive Street 1200! Właśnie przejechał tędy rowerzysta. Zdaje się, że wyciągnął coś spod koszuli.

Ostatnia informacja wyraźnie podnieciła Paula.

- Ten gliniarz z lotnego patrolu, z którym rozmawiałem, wspominał o czymś podobnym. Powiedział, że odniósł wrażenie, jakby facet na rowerze miał zamiar wyjąć coś zza koszuli!

- Ale co? - wykrzyknął Pete.

- Zaczekajcie z tym, teraz trzeba się skupić na słuchaniu! - syknął niecierpliwie Bob.

- Tyle że teraz, przez następne dwie albo trzy przecznice, nic się nie będzie działo. Mogę się założyć o duże lody z ananasek - rzucił szybko Jupiter. - Zaraz się przekonamy. Tylko posłuchajcie!

Jego trzech koledzy wybałuszyli na niego pełne zdumienia oczy.

- Człowiek na rowerze, odpowiadający podanemu opisowi, przejechał koło bloku domów przy Olive Street 1000, ale nie wydarzyło się nic godnego uwagi! Trzymajcie się, chłopaki!

- Skąd o tym wiedziałeś, Juve? - zapytał zaskoczony Pete.

- Jak tak dalej pójdzie, nasz szef kupi sobie całą lodziarnię! - westchnął Bob.

- Kiedy pojechałem w piątek na komendę policji, zapytałem komisarza Reynoldsa, gdzie zaplanował zasadzkę na dziś wieczór. I dowiedziałem się, że policjanci będą czatować przy Olive Street, naprzeciwko bloku domów, który zaczyna się od numeru 1000! - wyjaśnił Jupiter. - No i także tym razem ten wandal wiedział, który blok będzie pod obserwacją!

- Tu blok przy Olive Street od numeru 900 w dół. Przejechał właśnie mężczyzna na dziesięciobiegowej wyścigówce. Zdaje mi się, że wyciągnął coś spod koszulki i zaraz potem wyleciała boczna szyba w samochodzie chevette! Nic więcej nie zauważyłem!

- Co on tam może mieć pod koszulą? - zapytał Bob. - Jakiś przyrząd do wybijania szyb samochodowych?

- Jeżeli on coś rzuca, to dlaczego żaden z naszych obserwatorów tego nie dostrzegł? - zamyślił się głośno Paul. - Przecież nawet wieczorem taki ruch powinien być

wyraźnie widoczny.

- Facet na rowerze, podobny do Marsjanina, na wysokości bloku 800 przy Olive Street. Rozbite okno w cadillacu! Zdaje się, chłopaki, że on celował czymś w kierunku caddy'ego! Ale nie jestem tego pewien. Tu jest raczej ciemno, a on przez cały czas zdrowo grzeje na tej wyścigówce. Mimo to przez moment miałem wrażenie, jakby czymś celował!

- Pete - zwrócił się Bob do Drugiego Detektywa - gdzie jest ten metalowy okruch, który znalazłeś w furgonetce Paula?

- Mam go tu, przy sobie - odparł Pete, a potem sięgnął do kieszonki i wręczył Bobowi maleńką, srebrzystą kulę.

- Jasna sprawa! - stwierdził z przejęciem specjalista od analiz.

- Chłopaki, widzicie te prążki? No i dlaczego wygląda to tak, jakby było częściowo wydrążone, a częściowo nie? Od razu wiedziałem, co to może być!

- No to gadaj! Na co czekasz? - ponaglił go Pete.

- Nabój od wiatrówki! - stwierdził Bob, tocząc wzrokiem po twarzach kolegów. - On wybija te szyby przy pomocy pistoletu na sprężone powietrze. I to o dużej sile rażenia!

- Meldunek z bloku przy Olive Street 700. Osobnik na wyścigówce, w kasku i z wszystkimi pozostałymi bajerami przejechał właśnie koło zielonego samochodu mercury. Okno poleciało w kawałki! Nie zauważyłem, żeby rowerzysta wykonywał ja kies ruchy!

- Bob, zdaje się, że masz rację! - powiedział Jupiter, zbyt podniecony, aby zaważyć nawet, że to Bob znalazł jako pierwszy odpowiedź na dręczące wszystkich pytanie. - On ma do zrobienia tylko jedną rzecz: wyciągnąć pistolet spod koszulki, błyskawicznie wycelować w chwili, gdy przejeżdża koło samochodu i nacisnąć na spust. Trwa to dwie, trzy sekundy, nie powoduje żadnych głośnych hałasów i jest prawie niezauważalne w ulicznym mroku i przy szybkości, z jaką on się porusza. A wewnątrz samochodu zostaje maleńki okruch metalu, nie do zauważenia, jeśli ktoś nie wie, czego szukać!

- Zadzwońmy lepiej na policję! - krzyknął Paul. - Teraz mój starszerek będzie musiał mi uwierzyć.

- Tak, chyba powinniśmy to zrobić - zgodził się z jego propozycją Jupiter. - Powiemy im... Chociaż nie, zaczekajmy z tym! Nie możemy jeszcze zawiadamiać o tym policjantów! Musimy złapać go sami!

- Dlaczego, Juve? - zapytał niecierpliwym tonem Pete. - Komendant powiedział przecież....

- Wyjaśnię to później. A teraz musimy...

- Hej, Jupiter, Bob, Pete! Policjanci przyłapali osobnika na rowerze wyścigowym w

trakcie tłuczenia szyby samochodowej! Mają go na rogu ulic Olive i Chapala! Lecę tam, żeby popatrzeć!

- Walimy tam! - wrzasnął podnieconym głosem Bob.

- Nasze rowery są za wolne - stwierdził Jupiter. - Poprosimy Hansa albo Konrada, żeby nas tam podrzucili!

Nie zwlekając ani chwili, cała czwórka wymknęła się Łatwą Trójką i pognąła do kantorku. Przed drzwiami stała jedna z dwóch obsługujących złomowisko półciężarówek, ale w biurze był tylko wuj Tytus.

- Przykro mi, chłopaki - powiedział szef składnicy. - Hans i Konrad pojechali gdzieś z ciocią Matyldą, a ja czekam na pilny telefon.

- Ja sam mogę prowadzić - powiedział Paul. - Mam przy sobie prawo jazdy.

- Zgodzisz się, wujku? - zapytał z nadzieją w głosie Jupiter.

- No, nie widzę powodu, dla którego miałbym odmówić - odparł wuj Tytus.

W chwilę potem Paul ostrożnie ruszył opustoszałymi ulicami w kierunku skrzyżowania Olive i Chapala. Z podnieceniem w oczach chłopcy zaczęli wypatrywać policjantów i przygwożdżonego przez nich rowerzysty.

Na skrzyżowaniu nie było żywego ducha.

- Nnnikogo ttu nnie wwidzę - wyjąkał Pete.

Obie ulice były opustoszałe, jak okiem sięgnąć. Wieczornej ciszy nie przerywały najmniejsze nawet szmery.

- Ani widu, ani słyhu - stwierdził z rozzaleniem Bob.

- O czym tak myślisz, Juve? - zapytał Paul. Przecież widzisz, że...

- To podstęp! - wrzasnął nagle Pierwszy Detektyw. - On nam zwyczajnie zagrał na nosie, chłopaki! Wpuścił nas w maliny! Ostatni meldunek nie przyszedł od uczestnika naszego "Systemu połączeń".

ROZDZIAŁ 13

Porażka!

- Ale po co on to zrobił, Jupe? - zapytał Pete, przeszukując wzrokiem puste ulice, tak jakby spodziewał się, że zza jakichś krzaków wyłoni się rój policjantów, prowadzących zakutego w kajdanki wandala.

- Żeby nas odwieść od dzwonienia na policję - odparł w zamyśleniu Jupiter. - Albo żeby nas wywabić z Kwatery Głównej po to, żebyśmy nie usłyszeli kolejnych meldunków "Systemu połączeń"! Paul, wskakuj szybko za kierownicę. Przejedziemy całą Olive Street, w odwrotnym kierunku niż on! Może ten rowerzysta jeszcze nie zdążył dojechać tu, gdzie jesteśmy teraz, i dalej pruje w naszą stronę.

Skręciwszy w Olive Street, Paul ruszył powoli między dwoma rzędami zatopionych w wieczornej ciszy willowych domów. Trzej Detektywi, pochyleni do przodu, zaczęli wpatrywać się w głąb ciemnej ulicy, szukając oczami znajomej sylwetki w kasku i goglach.

- Szukajcie samochodów z wybitymi oknami - rzucił kolegom Jupiter.

- Robię to od początku, szefie - odparł Bob. - Ale dotąd nie zauważyłem ani jednego.

Przez chwilę w samochodzie słychać było tylko ciche mruczenie silnika. Paul ledwo dotykał pedału gazu.

- Jest! - wykrzyknął nagle Bob. - Roztrzaskana szyba w samochodzie! Widzicie? O, tam!

Ciężarówka minęła kolejną przecnicę i zaczęła posuwać się wzdłuż grupy domów, rozpoczynających się od numeru 600.

- Paul, zatrzymaj się - powiedział Jupiter.

Ciężarówka podjechała do krawężnika i zatrzymała się obok dużego buicka z wybitą szybą od strony siedzenia kierowcy. Jupiter pochylił się jeszcze bardziej i rozejrzał po okrytych mrokiem okolicznych domach.

- Jesteśmy jedną przecnicę dalej od miejsca, o którym mówił ostatni meldunek o wybitej szybie - powiedział Pierwszy Detektyw.

- Wygląda na to, że ten wandal po naszym wyjściu z Kwatery Głównej rozbił tylko jeszcze jedną szybę, a potem postanowił poprzestać na tym i zniknął gdzieś tu, między tymi domami i skrzyżowaniem z Chapala Street.

- O rany, Jupe, ale dlaczego? Co mogło go zmusić do rezygnacji z dalszej jazdy? - zapytał Pete.

- Wracamy do Kwatery Głównej - stwierdził wymijająco Jupiter. - Może dowiemy się czegoś więcej.

Tym razem Paul gnał jak oszalały, na ile tylko pozwalały mu wąskie uliczki dzielnicy willowej. Znalazłszy się z powrotem w przyczepie służącej za Kwaterę Główną, Jupiter uruchomił automatyczną sekretarkę i cofnął taśmę do miejsca, w którym został nagrany fałszywy meldunek.

- ...rogu ulic Olive Chapala! Lecę tam, żeby popatrzeć!

Oszukańczy głos zamilkł. Chłopcy nastawili uszy w oczekiwaniu na ewentualne dalsze meldunki.

- Z bloku domów przy Olive Street 600. Wasz rowerzysta przejechał koło dużego buicka, z którego wyleciało całe okno! Facet nie wykonał jednak żadnego ruchu. Może tylko coś, co mogło przypominać celowanie w kierunku buicka.

- Ta jego wiatrówka musi być naprawdę trudna do zauważenia - odezwał się Paul.

Jupiter kiwnął głową.

- On jedzie ze sporą szybkością, dokoła jest ciemno, a w dodatku komu przyszłoby do głowy, żeby podejrzewać człowieka na rowerze o to, że w czasie jazdy tłucze samochodowe szyby? Nawet jeśli ktoś by usłyszał, a może i zobaczył wylatujące okno, najpierw spojrzałby na samochód, a w tym czasie rowerzysta zostawiłby już to miejsce za sobą i oddalał się na pełnym gazie. Wiatrówka zasłonięta by była jego ciałem, a w parę sekund później wróciłaby prawdopodobnie za pas czy do jakiejś pochwy. Dzieciaki zauważyły tylko to, cośmy słyszeli, ponieważ były nastawione na wyłapanie samego rowerzysty.

- Uwaga, koledzy, blok, Olive Street 500. Przejechał wasz osobnik na wyścigowce, a przynajmniej ktoś odpowiadający podanemu przez was opisowi. Nic się nie wydarzyło! Żadnej stłuczonej szyby. Dosłownie nic!

- Jechał w dalszym ciągu Olive Street! - wykrzyknął Paul - ale nie strzelał!

Przez jakiś czas jeszcze chłopcy wyczekiwali na kolejne raporty. Automatyczna sekretarka milczała jednak. Na taśmie nie było już żadnych meldunków.

- Dziwna sprawa - odezwał się Bob. - Przejechał koło bloku domów, oznaczonego numerem 500 i od tej chwili nie widział go już nikt z biorących udział w "Systemie połączeń".

- Jak myślisz, Jupe, co tam się mogło stać? - zapytał Pete. - Przecież mamy dzieciaki dosłownie w całym mieście, więc któreś z nich powinno go dostrzec, nawet jeśli zostawił w spokoju te szyby.

- Albo jeśli zjechał z Olive Streetw jakąś boczną uliczkę - dodał Paul.

Jupiter zagryzł dolną wargę.

- Przychodzą mi do głowy tylko dwa wytłumaczenia. Albo zrzucił z siebie cały ekwipunek i zostawił rower, w wyniku czego nasze dzieciaki nie mogły go rozpoznać, albo ktoś zabrał go do samochodu czy furgonetki i odwiózł stamtąd w jakieś inne miejsce.

- Ale dlaczego miałby to robić, Jupe? - zapytał Pete. - Myślisz, że dowiedział się o naszym "Systemie połączeń" i o tym, że jest śledzony?

- Tak - odparł Jupiter. - To jest dokładnie to, co moim zdaniem rzeczywiście się wydarzyło.

- Ale w jaki sposób mógł się o tym dowiedzieć? - zdziwił się Paul.

- Ktoś mu powiedział! Został ostrzeżony, więc przerwał strzelanie do szyb i zniknął!

- Ostrzeżony? - powtórzył nieufnie Paul.

- Może okazał się znajomym któregoś z uczestników naszego "Systemu połączeń" i ten ktoś wybiegł na ulicę, żeby go ostrzec - zasugerował Bob.

Jupiter potrząsnął przecząco głową.

- Nic z tych rzeczy, kochani. Zaczyna mi się powoli rozjaśniać. Dowiedział się o nas w taki sam sposób, w jaki za każdym razem dowiadywał się, gdzie czyhają na niego policjanci. Ktoś go ostrzegł, z tym się zgadzam, ale za pomocą słuchawek, które miał w uszach!

- Słuchawek?

- No tak, bo czy nie były one podłączone do odbiornika umieszczonego w plecaku?

- Rzeczywiście, to musi być radio CB!

- Albo radioamatorska krótkofalówka!

- A przynajmniej odbiornik umożliwiający podsłuchiwanie policyjnych meldunków i rozmów - stwierdził Jupiter. - Kiedy byłem w piątek u komendanta Reynoldsa, zapytałem go, czy ludzie wystawieni w zasadzkach mają kontakt radiowy z komendą i czy mogą się porozumiewać między sobą przez radio. I pan komendant potwierdził moje przypuszczenia. Dzięki temu od razu zrozumiałem, w jaki sposób ten facet dowiadyuje się, gdzie siedzą zaczajeni policjanci. Po prostu podsłuchuje ich rozmowy przez radio nastawione na policyjne częstotliwości. I tą samą drogą ktoś go ostrzegł dziś wieczorem, jestem tego absolutnie pewien! Używając tej samej częstotliwości, uprzedził go o tym, że jest pod obserwacją naszego "Systemu połączeń"!

- Ale zaczekaj, Jupe - zaprotestował Bob z zakłopotaną miną. - Tylko my czterej wiedzieliśmy o tym, że dziś wieczorem będzie działać nasz "System połączeń".

- Rzeczywiście - poparł go Pete. - W jaki sposób dowiedział się o nim oszust, który

zadzwoił do nas, żeby nas wpuścić w maliny? I skąd miał numer naszego telefonu?

- Zdaje się, że będę ci mógł pokazać, jak on to zrobił - odparł Jupiter. - Będzie nam do tego potrzebna nasza dalekosiężna latarka, no i drabina, która leży w warsztacie.

W parę minut później Pierwszy Detektyw dziarsko prowadził swych kolegów, obciążonych długą drabiną, w kierunku Czerwonej Furtki Korsarza w tylnym parkanie. Doszedłszy do niej, zwolnił zasuwkę naprzeciwko dziury po sęku i odsunął na bok drewniane sztachety. Kiedy wszyscy byli już po drugiej stronie, ruszył w stronę słupa, od którego odchodziły na teren składnicy kable telefoniczne.

- Chciałbym, żebyś wszedł po drabinie aż do telefonicznej skrzynki, która znajduje się na tym słupie - poinstruował Pete'a.

- A jak już tam będę, to co mam robić?

- Otworzysz skrzynkę i powiesz nam, co zobaczyłeś.

Atletycznie zbudowany Drugi Detektyw przewiesił przez ramię latarkę, upewnił się, czy drabina opiera się solidnie o słup, i zaczął się wspinać. Znalazłszy się naprzeciwko skrzynki, otworzył ją i poświecił do środka latarką.

- Widzę tylko kłęb jakichś przewodów. Pomieszanie z poplątaniem... Ale zczekajcie, zaraz, zaraz... Coś tu rzeczywiście jest!

- Co takiego, Pete? - zawołał z dołu Jupiter.

Głowa Pete'a znikła prawie zupełnie we wnętrzu skrzynki.

- Nie mam pojęcia - odrzyknął na dół. - Jakiś metalowy lub plastikowy sześciang, podłączony do paru końcówek. Wygląda tak, jakby to było podłączone do linii telefonicznej. Chcesz, żebym to przyniósł na dół?

- Nie! - wrzasnął Jupiter. - Nie dotykaj tego! Możesz już zejść.

Znalazłszy się z powrotem na ziemi, Pete jeszcze raz zadarł głowę w kierunku skrzynki na słupie.

- To musi być chyba urządzenie podsłuchowe, no nie? Podłączone do naszej linii telefonicznej. Teraz już wiem, w jaki sposób ten ktoś dowiedział się o "Systemie połączeń", a potem włamał się do naszej linii, żeby złożyć fałszywy meldunek.

Jupiter przytaknął skinieniem głowy.

- To jedyna odpowiedź, jaką znalazłem, zastanawiając się nad tym wszystkim.

Także Bob zadarł głowę ku skrzynce telefonicznej.

- Ale w jaki sposób on nas podsłuchuje? Nie widać, żeby ze skrzynki wychodziły jakieś inne przewody, oprócz normalnych kabli telefonicznych.

- To musi być jakieś specjalne urządzenie do zdalnego odsłuchu, wysyłające sygnały

radiowe - stwierdził Jupiter. - Mamy do czynienia z kimś, kto fantastycznie zna się na elektronice.

- I przez cały czas miał na nas oko - dodał Bob.

- Chciałeś powiedzieć "ucho", no nie, Bob? - wybuchnął śmiechem Pete.

Jego trzech koledzy skwitowali ten żarcik niewyraźnym pomrukiem, a potem odwrócili się i pomaszzerowali zgodnie do furtki, zostawiając Pete'a sam na sam z drabiną.

- Ej, chłopaki, drabina! Dajcie spokój, nie chciałem was urazić!

Trzej przyjaciele odwrócili głowy w jego stronę.

- Skończyłeś z tymi docinkami? - zapytał Bob.

- Jasne, będę milczał jak grób - obiecał Pete.

Chłopcy, śmiejąc się, zawrócili, aby pomóc mu w odniesieniu drabiny na miejsce. Ustawivszy ją w warsztacie, Pete i Bob popęzli Tunelem Drugim do ukrytej pod zwałami żelastwa przyczepy. Jupiter i Paul zdążyli już włączyć automatyczną sekretarkę i właśnie słuchali ostatniego meldunku.

- Hej, Jupiter, Bob, Pete! Policjanci przyłapali osobnika na wyścigowym rowerze w trakcie tłuczenia szyby samochodowej! Mają go na rogu ulic Olive i Chapal! Lecę tam, żeby popatrzeć!

- Czy któryś z was rozpoznaje ten głos? - zapytał Jupiter.

- Nie jestem całkiem pewien - stwierdził Bob. - Ale mam wrażenie, jakbym już gdzieś...

- Moim zdaniem brzmi tak, jakby ktoś chciał go celowo zmienić - przerwał mu Paul.

- Nie wydaje się wam, że ma troszeczkę obcy akcent? Może chiński? - zastanawiał się Pete.

- W każdym razie orientalny - zgodził się Jupiter. - Jak głos, o którym mówił Worthingtonowi recepcjonista z wypożyczalni samochodów. Wicie, głos tego nieznanego, który pytał o nas po naszej pierwszej poniedziałkowej zasadzce. To on był prawdopodobnie intruzem, którego próbowaliśmy tu złapać w zeszłym tygodniu. Założę się o co tylko chcecie, że to on udawał też montera z centrali telefonicznej, którego ciocia Matylda widziała w czwartek. Prawdopodobnie wtedy właśnie założył urządzenie podsłuchowe.

- Ale kto to może być? - wykrzyknął ze złością Pete. - I czego od nas chce? Dlaczego nas śledzi i podsłuchuje?

- Może jest współnikiem tego wandalę od szyb, bo ja wiem? - zasugerował Paul.

Jupiter zaczął ssać dolną wargę.

- Rzeczywiście wygląda na to, że oni współpracują ze sobą.

- Ale jaki to wszystko ma sens? - zapytał Bob. - Po jakie лихо oni tłuką te szyby w samochodach? Potężny pistolet na sprężone powietrze, skomplikowana elektronika, odbiornik działający na policyjnym zakresie, urządzenie podsłuchowe... Coś mi się wydaje, że do stłuczenia paru głupich szyb nie trzeba aż tak skomplikowanej maszynierii.

- Musi istnieć jakiś ważny powód - stwierdził Pete. - Jakaś znacząca korzyść, którą ten wandal spodziewa się wyciągnąć dla siebie z całej tej sprawy. Kapujecie?

- Może było nią zwędzenie staremu Jarvisowi Temple'owi jego złotej monety - powiedział Paul. - Taki pieniążek, wart dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, to wystarczająco dobry powód.

- A ty, Jupe? - zapytał Bob. - Co ty o tym myślisz?

Rozparty za biurkiem szef detektywistycznej paczki jeszcze raz przyjrzał się mapie z rzędami kolorowych pinezek i westchnął.

- Prawdopodobnie istnieje jakiś powód, na który do tej pory nie wpadliśmy - powiedział. - Ale to nie ma już praktycznie żadnego znaczenia. Dochodzenie się skończyło.

W małym pokoiku zapadła nagle głucha cisza. Trzej pozostali chłopcy wstrzymali oddechy i wybałuszyli na Jupitera pełne zdumienia oczy. Pierwszy Detektyw powiódł po nich nieco przygaszonym spojrzeniem.

- Wymknął się nam - stwierdził z żalem w głosie. - Nie udało się nam zamknąć ptaszka w naszej klatce.

Czwórka przyjaciół zastygła w kamiennym bezruchu.

- Wiemy już, że człowiek jeżdżący na wyścigowym rowerze jest wandalą tłukącym szyby - podjął po chwili Jupiter. - Ale nie mamy pojęcia, kim on jest! Nie znamy jego nazwiska ani żadnych szczegółów dotyczących jego osoby, nie wiemy nawet, jak on może wyglądać bez kasku i gogli. Nigdy, nawet przez moment, nie widzieliśmy jego twarzy! A teraz on po prostu się nam wymknął. Ponieważ wie, że został w pewnym sensie zidentyfikowany, nie będzie już więcej tłukł żadnych szyb.

Z piersi Pete'a wyrwał się głuchy jęk zawodu.

- Jupe ma rację. Bo chociaż wiemy, że to on tłucze te szyby, nie jesteśmy w stanie go złapać.

Jupiter ponuro pokiwał głową.

- Tak, wyjaśniliśmy tę tajemnicę, nie możemy jednak udowodnić nikomu winy.

Po kilku minutach, spędzonych przez czterech przyjaciół na tępym gapieniu się w podłogę albo w sufit, Pete spojrzał na zegarek.

- Holender, robi się późno - mruknął pod nosem. - Chodźmy lepiej pomieszkać w

domu.

Bob kiwnął głową z posępnym wyrazem twarzy.

- Chyba nie pozostało nam nic lepszego. On z pewnością nie wybije już żadnej szyby, więc i mnie się wydaje, że nasze śledztwo rzeczywiście się skończyło.

- Mój stary do końca życia będzie mnie uważał za kłamcę - jęknął Paul.

ROZDZIAŁ 14

Cios za cios

Następnego ranka przy śniadaniu pan Jacobs spojrział z niedowierzaniem na swego syna Paula.

- Facet w kasku, golach, ze słuchawkami w uszach i plecakiem, jeżdżący na wyścigowym rowerze? Strzelający z pneumatycznego pistoletu do szyb samochodowych?

- To prawda, tato! Wczoraj wieczorem Jupiter i jego koledzy znaleźli na to dowody.

Aby przekonać ojca, Paul opowiedział mu o tym, jak to dzieciaki z "Systemu połączeń duch z duchem" przyuwały poprzedniego dnia podejrzanego rowerzystę.

- A co to za dziwoląg? - zdumiał się ojciec.

Paul opowiedział mu więc o tym, jak to za pierwszym razem chłopcy dowiedzieli się dzięki "Systemowi połączeń", że samochodowe okna wylatują w całym Rocky Beach, a nie tylko w furgonetce pana Jacobsa, a potem mogli niemal nieprzerwanie śledzić chuligańską akcję mężczyzny na rowerze. Słuchając relacji syna, pan Jacobs zaczął w końcu z uznaniem kiwać głową, a niedowierzanie w jego oczach ustąpiło szczerzej admiracji.

- Daję słowo, Paul, to naprawdę świetny pomysł. "System połączeń duch z duchem", hmm, tak to nazywacie? Całkiem dobre określenie - stwierdził śmiejąc się. - No więc, co ten wandal miał do powiedzenia policjantom, którzy go aresztowali?

- Ale... my nie zawiadomiliśmy jeszcze o tym policji.

- Nie złożyliście meldunku na komendzie? - zapytał pan Jacobs marszcząc brwi. - Dlaczego? Chyba nie macie zamiaru złapać go samodzielnie?

- Nie, tato - odparł Paul.

- No więc?

- My... nadal nie wiemy, kto to jest - stwierdził z żalem Paul. - To znaczy, nie znamy jego nazwiska ani adresu, nie wiemy też, jak on wygląda bez kasku, gogli i całego kolarskiego ekwipunku.

- Rozumiem - powiedział kiwając głową pan Jacobs.

- Wymknął się i zniknął, zanim zdążyliśmy tam dojechać, tato! Ale damy sobie z tym radę! Tyle że... jeszcze nie wiemy, jak.

- Tak, rozumiem - powtórzył pan Jacobs i pochylił się nad talerzem z owsianką. - Posłuchaj, Paul - odezwał się po chwili - wiem, że chciałbyś znowu pojechać furgonetką, ale bądźże realistą! Wykonałeś dobrą robotę pilnując sklepu podczas mojego wyjazdu, ale o

siadaniu za kierownicą nie może być nawet mowy, dopóki nie powiesz mi dokładnie i ze szczegółami, w jaki sposób wyleciały te szyby.

Paul w ponurym nastroju dokończył śniadanie, a potem postanowił wskoczyć na swój stary rower i pojechać do składnicy złomu. Może Jupiter, Bob i Pete wymyślili jakiś sposób na zidentyfikowanie tajemniczego rowerzysty, choć Paul nijak nie mógł sobie wyobrazić, co by to mógł być za sposób. Przez całą noc przewracał się bezsenne na łóżku, próbując wycisnąć coś ze swej mózgowicy, nie udało mu się jednak wpaść na żaden pomysł, który mógłby pomóc w rozwiązaniu zagadki.

Dojechawszy do składnicy, natknął się na Boba i Pete'a w warsztacie pod gołym niebem.

- A gdzie Jupiter?

- Dobre pytanie. Sami go szukamy - stwierdził Pete.

- Nigdzie go tu nie ma - wyjaśnił Bob. - Czekaliśmy na niego chyba z godzinę w Kwaterze Głównej, ale się nie pokazał.

- Poszliśmy do kantorku, ale zastaliśmy tam tylko Konrada. On też nie wiedział, gdzie jest Jupe - dodał Pete.

- Stwierdził tylko, że Jupe mógł pojechać ciężarówką razem z wujem Tytusem - uzupełnił informację Bob.

- Postanowiliśmy więc czekać tu, na dworze - powiedział Pete wzruszając ramionami.

- Siedzenie w Kwaterze Głównej jest za bardzo przygnębiające. Nie można gapić się w kółko na mapę z tymi pinezkami i słuchać głosu faceta, który zrobił nas w bambuko i pozwolił rowerzyście spokojnie się oddalić.

- Czy któremuś z was nie przyszedł do głowy jakiś sposób na to, żeby przyskrzynić tego wandalę?

Obaj młodzi detektywi smutno pokręcili głowami. Przez długą chwilę cała trójka siedziała w milczeniu. Minęło pół godziny, a Jupiter nie pokazywał się nadal. W jakiś czas potem zobaczyli, że na dziedziniec wjeżdża ciężarówka. Na próżno jednak wyciągali szyje w tamtą stronę, bo z szoferki wysiadł tylko wuj Tytus ze swym pomocnikiem Hansem. Zniecierpliwieni długim oczekiwaniem chłopcy pobiegli do kantorku.

- Panie Jones, nie widział pan gdzieś Jupe'a? - spytał Bob.

- Nie, chłopcy, nie pokazał się od wczorajszego wieczoru - odparł wuj Jupitera. - Poszedł spać bardzo przygnębiony i nie tknął nawet kanapki, którą zjada zwykle tuż przed wskoczeniem do łóżka! A dziś rano zerwał się i gdzieś poleciał, zanim jeszcze zdążyłem zejść na dół. Zdaje mi się, że zapomniał również o śniadaniu.

- Jupe nie zjadł wieczornej kanapki? - zdumiał się Bob.

- I zapomniał o śniadaniu? - zawtórował mu z niedowierzaniem w głosie Pete.

- A nie wie pan, dokąd mógł pójść? - zapytał Paul.

- Nie mam pojęcia - odparł pan Jones. - Ale gdyby się pokazał, dajcie nam znać, bardzo proszę. Jego ciocia jest trochę zaniepokojona.

Kiwnąwszy głowami, chłopcy wrócili wolnym krokiem do warsztatu.

- Co też on może robić? - zamyślił się głośno Paul.

- Może tak jak i my chciał tylko uniknąć siedzenia w Kwaterze Głównej - powiedział Bob.

Pete przytaknął mu skinieniem głowy i westchnął. Paul zaczął się gapić w kierunku głównej bramy, gdzie Hans i Konrad wyładowywali z ciężarówki najnowsze nabytki wuja Tytusa. Bob oparł się z ponurą miną o stół z imadłem.

Nagle usłyszeli dochodzący nie wiadomo skąd głos:

- Czy wy naprawdę nie macie zamiaru skończyć z tym ponurym łażeniem z kąta w kąt i z beczynnością? Żeby rozwikłać tę tajemnicę, mamy do zrobienia całą kupę rzeczy! Muszę na was czekać cały dzień?

- Jupe! - krzyknął Pete.

- Gdzie on się schował? - zapytał Paul rozglądając się po warsztacie.

- Tam! - Bob wyciągnął rękę w kierunku zawieszzonego przez Jupitera głośnika interkomu. - Siedzi w przyczepie! Lecimy!

Pete i Bob rzucili się do Tunelu Drugiego, w porę przypomnieli sobie jednak, że Paul mógłby się przez niego nie przecisnąć. Wycofali się więc i cała trójka popędziła krętą ścieżką między zwałami starego żelastwa do dębowych drzwi, czyli Łatwej Trójki. Pete sięgnął po zardzewiały klucz, żeby je otworzyć, i w chwilę potem wszyscy trzej, przemknąwszy się przez stary kocioł, znaleźli się w Kwaterze Głównej. Za biurkiem siedział zadowolony z siebie, uśmiechnięty Jupiter i przyglądał się rzędom kolorowych pinezek wpiętych w wiszącą na ścianie mapę.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytał Bob. - Czekaliśmy na ciebie przez cały ranek!

- Och, wróciłem kuchennymi drzwiami - odparł beztroskim tonem Jupiter.

- Wuj Tytus powiedział nam, że byłeś okropnie przygnębiony - powiedział tonem wymówki Pete. - Ale nie wyglądasz na człowieka, który by miał jakieś zmartwienie!

- Przygnębiony? Zmartwienie? - zarechotał Jupiter. - A czemu to miałbym, być zmartwiony, skoro jesteśmy o krok od rozwiązania zagadki, która wyglądała na najtrudniejszą w całej naszej karierze?

- Jak? - zabrzmiały zgodnym chórem trzy głosy.

Okrągła twarz Jupitera rozpromieniła się niczym księżyc, który nagle wyjrzał zza zasłony chmur.

- Tak naprawdę, to wy sami podsunęliście mi rozwiązanie jeszcze wczoraj wieczorem, ale byłem za bardzo zbity z tropu, żeby zwrócić na nie uwagę. Dopiero w środku nocy, ledwo żywy z głodu, bo nie zjadłem kanapki przed pójściem do łóżka, zdałem sobie w końcu sprawę z tego, co powiedział Bob, a wy dwaj potwierdziliście.

- Co to było? Gadaj, Jupe! Prędko! - Niecierpliwosć całej trójki sięgnęła zenitu.

- To, że musimy się domyślić, dlaczego i po co ten wandal wybija szyby! - stwierdził z promiennym uśmiechem Pierwszy Detektyw. - Mielicie słuszość. Kiedy tylko ustalimy, w jakim celu on to robi, natychmiast zidentyfikujemy i jego samego.

Zapadła głucha cisza. Chłopcy w milczeniu zaczęli spoglądać po sobie. A potem przenieśli wzrok na Jupitera.

- Ale ja nadal tego nie wiem, szefie - powiedział niepewnie Bob.

- Eee! - skrzywił się z powątpiewaniem Paul. - Przecież nawet gdybyśmy ustalili, dlaczego on to robi, to taka motywacja mogłaby pasować do mnóstwa innych osób.

- Nie! - oświadczył stanowczo Jupiter. - Nie sądzę, aby tak było. Myślę, że kiedy będziemy już wiedzieli, dlaczego lecą te szyby, pozostanie nam bardzo wąski obszar poszukiwań sprawcy.

- Moim zdaniem szansę są niewielkie - powiedział Pete - ale ponieważ Jupe ma zawsze rację, nie zaszkodzi spróbować. No więc co temu wandalowi strzeliło do łba, żeby wybijać szyby? Może po prostu ich nienawidzi!

- Albo ma jakąś awersję do samochodów - dodał Bob. - Może sprawia mu przyjemność ich niszczenie.

- Nie, to nie to - pokręcił głową Jupiter. - Gdyby tak było, to nie ograniczałby się chyba do wybijania tylko jednej szyby w każdym bloku między dwoma przecznicami. W takim przypadku byłoby bardziej prawdopodobne, że starałby się nawybijać w jednym miejscu tyle szyb, ile tylko by się dało, i zniknąć. Tu natomiast mamy do czynienia z precyzyjnym przestrzennym rozplanowaniem działań przestępczych. Myślę, że ten wandal próbował uniknąć w ten sposób zwracania na siebie uwagi. Chciał, żeby każdy z tych incydentów wyglądał na coś zwyczajnego i przypadkowego.

- No dobra, a jeśli to jest taki bezinteresowny wandalizm - wtrącił Paul. - To znaczy, ktoś tłucze szyby dla przyjemności i stara się być nieuchwytny.

- Zwyczajni wandal nie obmyślają tak starannie swoich wyczynów - Jupiter

skorygował wypowiedź kolegi. - Wiesz, Paul, w wandalizmie objawia się tylko nienawiść. Ludzie czują się czasem skrzywdzeni, poniżeni, oszukani. Może się im wydawać, że są dyskryminowani, i mają o to pretensję do całego świata. A potem starają się odpłacić mu tym samym. Wandalizm jest zwykle działaniem całkowicie spontanicznym, wynikającym z napadu wściekłości, i dlatego nietrudno zauważyć i przyłapać sprawcę.

- Nasz przypadek z pewnością nie należy do tych łatwych - zgodził się Paul.

- No właśnie, Paul - kiwnął głową Jupiter. - Nasz rowerzysta precyzyjnie zadbał o to, żeby to, co robi, nie zwracało niczyjej uwagi, a on sam czuł się bezpieczny. Zwyczajny wandal czułby się nieusatisfakcjonowany, gdyby jego wyczyny nie zostały przez nikogo zauważone. Mogłoby mu zależeć na tym, żeby go nie złapali, dołożyłby jednak starań, żeby ludzie dowiedzieli się o tym, co zrobił i dlaczego.

- Zgoda, szefie - odezwał się Bob. - A może to jest odwet? Co o tym myślisz?

- Odwet? Na kim?

- Na producentach samochodów. Może facet uważa, że został naciągnięty, ma więc pretensje do Forda, Toyoty czy do jakiejś innej wytwórni.

- W takim razie szyby powinny lecieć w samochodach jednej firmy, nie uważasz? Niezbyt logiczne byłoby mścić się na fabrykach, które go nie zrobiły w konia. A poza tym, dlaczego on tłucze tylko szyby? Czemu nie wyrządza jakichś poważniejszych szkód w samych karoseriach?

- W każdym razie - zauważył Pete - na jego miejscu starałbym się tłuc samochody, będące nadal własnością takiej czy innej firmy, a nie te, które już zostały sprzedane jakimś ludziom.

- No dobra - powiedział Bob - może więc bierze on odwet na niektórych właścicielach samochodów.

- Nie, Bob, tych aut uzbierało się już o wiele za dużo. Przecież facet nie może mieć pretensji do kilkuset osób naraz.

- Może to jest taki ordynarny, zwykły kretyń, któremu się poprzestawiało pod sufitem? - podsunął Pete.

- Chłopie, ten facet nie zachowuje się jak zwykły kretyń - stwierdził Paul.

- Rzeczywiście, chyba nie - zgodził się Pete z ciężkim westchnieniem.

- Słuchaj, Jupe - powiedział z nagłym błyskiem w oczach Bob. - A gdyby tak połączyć tę aferę z tym podwójnym złotym orłem? Może cały ten plan służył tylko do tego, żeby ukryć tamtą kradzież? Wiesz, co mam na myśli? Facet tłucze kilkaset szyb, żeby ukryć to, że tak naprawdę zależało mu na stłuczeniu tylko tej jednej i zwęczeniu złotej monety!

Jupiter kiwnął w zamyśleniu głową.

- Zastanawiałem się nad tym bardzo długo, ale fakt, że nie zginęło nic więcej, zdaje się przemawiać za wyeliminowaniem takiej możliwości! Gdyby ktoś chciał ukryć jakieś działanie przestępcze w wielu innych takich samych przestępstwach, musiałby popełniać takie właśnie przestępstwa, i to w dużych ilościach. Żeby więc ukryć w ten sposób kradzież, musiałby popełnić wiele kradzieży, a nie tłuc szyby. A tu mamy do czynienia z jednym jedynym złodziejstwem.

- No dobra, w takim razie... - zaczął Pete i nagle urwał, pograżając się w głębokim zamyśleniu.

- Może więc... - próbował wymyślić coś sensownego Paul.

- Prawdopodobnie... - przerwał mu Bob. - Szefie, nic innego nie przychodzi mi do głowy, niż to, co już powiedziałem.

- Jestem pewien, że znaleźlibyśmy wspólnie ten powód, gdybyśmy się nad tym solidnie zastanowili. Ale nie zrobiliśmy tego jeszcze, tak mi się przynajmniej wydaje. Możliwości jest dużo, ale, jak stwierdził wczoraj wieczorem Pete, istnieje tylko jeden rzeczywiście prawdopodobny powód.

- Ja? - zdziwił się Pete. - A niby kiedy miałem stwierdzić coś takiego?

- Kiedy powiedziałeś, że facet musi odnosić jakąś korzyść z tłuczenia tych szyb. Chłopaki, ruszcie trochę tymi waszymi mózgowicami. Kto może odnosić korzyści z tłuczenia szyb w samochodach?

Cała trójka wybałuszyła zdumione gały prosto na Jupitera.

- Korzyści? - powtórzył jak leśne echo Paul. - Kto może odnosić korzyści z tłuczenia szyb?

- Ci, co je produkują! - przerwał mu triumfalny okrzyk Pete'a.

- Nie! - wykrzyknął Bob. - Nie ci, co je produkują, ale ci, co je wstawiają! Firmy wstawiające stłuczone okna.

- Dokładnie tak, kolego analityku - rozpromienił się Jupiter. - Jedyńymi ludźmi, którzy rzeczywiście mogliby mieć jakieś profity z procederu tłuczenia szyb, są ci, którzy je wstawiają.

Na twarzy Paula nadal malowało się ponure zamyślenie.

- Ale zaczekaj, Jupe, przecież samochód z ową szybą można wstawić w każdym prawie warsztacie samochodowym i u wszystkich blacharzy. Gdyby tak podzielić te profity między nich wszystkich, to ile by wypadło na każdego?

- Rzeczywiście, to także nie dawało mi przez pewien czas spokoju - zgodził się

Jupiter. - Dlatego wstałem dzisiaj trochę wcześniej, żeby objechać parę warsztatów samochodowych i blacharzy, którzy naprawiają karoserie. Pytałem ich, skąd biorą szyby, żeby je wstawić w miejsce potłuczonych. Niektórzy jeżdżą po nie do Los Angeles albo zamawiają je wprost u producentów określonych marek i typów samochodów, ale większość z nich powiedziała mi, że kupują je tu, na miejscu. I wiecie co, koledzy? W Rocky Beach jest tylko jedna spółka, która sprzedaje szyby do wszystkich rodzajów i marek samochodów - Margon Glass Company!

ROZDZIAŁ 15

Kto tłucze samochodowe szyby?

Margon Glass Company mieściła się w parterowym budynku z żółtej cegły, za którym widać było trzy zardzewiałe, metalowe baraki przeznaczone na magazyny. Wszystko to ogrodzone było prawie dwumetrowym parkanem i położone na przedmieściu Rocky Beach, o jakieś półtora kilometra od składu złomu Jonesów. Ciężarówki z dostawami wjeżdżały do środka boczną bramą, która służyła też pracownikom, zaś główne wejście do biura obsługi klientów i sklepu, prowadzącego sprzedaż detaliczną, znajdowało się od frontu. Za żółtym budynkiem widać było dwie rampy wyładownicze oraz zapelniony tylko w połowie parking dla samochodów pracowników firmy. Położony na prawo od wejścia do biura parking dla klientów był natomiast bezustannie zatłoczony.

- Myślisz, że facet tłukący te szyby jest właścicielem tej firmy? - zapytał Bob.

- Niekoniecznie - odparł Jupiter.

Ukryci w spłowiejących, wysokich trawach czterej chłopcy leżeli na pagórku, z którego rozciągał się doskonały widok na drogę oraz budynek i całą posesję "szklanej" spółki. Ich rowery powiązane zamkniętym na kłódkę łańcuszkiem, leżały u stóp pagórka w pewnej odległości od drogi.

- Mógłby to być akwizytor, któremu zależy na powiększeniu liczby zamówień - podjął Jupiter obserwujący bezustannie to, co działo się na dole. - Czy też nowy szef działu sprzedaży, który chce rozpocząć swoją karierę od takiego mocnego uderzenia. Albo nawet jakiś zwykły pracownik, obawiający się, że zostanie bez pracy w przypadku bankructwa firmy.

- W jaki więc sposób go zidentyfikujemy - zapytał markotnie Paul - jeżeli nie wiemy, jak on wygląda?

- Wiemy, że jest wysoki, chudy i prawdopodobnie młody, bo przecież nie widuje się wielu oldboyów na rowerach wyścigowych, przebranych w cały ten kolarski chłam. A już na pewno wśród pracowników Margon Company nie będzie wielu osób, które odpowiadałyby temu opisowi.

Od godziny chłopcy przyglądali się firmie z doskonałego punktu obserwacyjnego, jakim okazał się czubek pagórka. Główny budynek miał wejście nie od ulicy, ale od strony parkingu dla klientów, na którym panował ożywiony ruch. Samochody wjeżdżały i wyjeżdżały nieprzerwanym niemal strumieniem.

- Skąd taka hurtownia szkła bierze aż tylu klientów? - zdziwił się głośno Pete.

- Takie zwyczajne hurtownie, sprzedające tylko szkło, to już historia - wyjaśnił Paul. - W tych czasach wszyscy handlują dodatkowo towarem wszelkiego rodzaju. Firmy z drewnem budowlanym mają stoiska z artykułami żelaznymi, hurtownie z farbami przypominają normalne wielobranżowe domy towarowe. U Margona można też kupić różne sprzęty domowe, takie jak lustra, okna, składane drabinki, lampy i wiele innych.

Długa frontowa ściana budynku miała rząd dużych okien, za którymi widać było obszerne wnętrza biurowe. Chłopcy widzieli jak na dłoni ludzi siedzących przy biurkach albo szukających czegoś w szafach z segregatorami. W tylnej części podwórza dwaj mężczyźni rozładowywali wielką ciężarówkę, przenosząc do magazynu duże, płaskie skrzynie. Jakiś niski człowiek kilkakrotnie wychodził z tylnych drzwi głównego budynku i szedł do któregoś z trzech magazynów, a potem wracał z płaskim pakunkiem, owiniętym brązowym papierem, w którym z pewnością znajdowała się pojedyncza tafła jakiegoś szkła albo gotowa szyba tego czy innego rodzaju.

- Holender - powiedział Paul - żaden z tych facetów ani trochę nie przypomina naszego rowerzysty.

- Rzeczywiście - przytaknął Jupiter. - On pracuje pewnie w sklepie czy w biurze albo gdzieś tam w magazynie. Może jest ekspedientem? Mają też pewno sprzedawców, którzy wyjeżdżają na miasto z zamówionym towarem.

W jakiś czas później jeden z robotników rozładowujących ciężarówkę usiadł za kierownicą i wielki samochód opuścił podwórze. Inny robotnik zabrał się teraz do ładowania furgonetki i specjalnego samochodu do przewożenia szkła, który miał wysokie, pochylone lekko do środka ściany, o które można było oprzeć niemal pionowo ogromne szklane tafle. Najpierw załadował furgonetkę płaskimi skrzyniami, przywożonymi z magazynu na wózku z rozwidlającą się podnoszoną platformą. Do pomocy przy załadowaniu ogromnych szklanych tafli na specjalny samochód przywołał niskiego facecika z głównego budynku. Owinięte papierem płyty przenosili w rękach po jednej.

- I co robimy, Jupe? - zapytał Bob. - Obserwujemy i czekamy?

- Chyba nie, chciałem tylko zobaczyć, czy tu jest duży ruch i jak to się odbywa - odparł Pierwszy Detektyw. - Duża ciężarówka najwyraźniej przywozi szyby od producenta. Furgonetka i ta specjalna ciężarówka do szkła dostarczają towar do warsztatów naprawczych i na budowy. Przyjmuję, że niedługo stąd odjadą. Co jakiś czas ten mały człowieczek przynosi jakąś szybę czy kawał szkła z magazynu do sklepu, nie na tyle dużo jednak, by obsłużyć ten tłum klientów, który zdążyliśmy zaobserwować. Sądzę więc, że większa część drobnego

towaru przechowywana jest pod ręką, w głównym budynku. Nie zauważyliśmy, by ktoś wychodził z magazynu, żeby pomagać na podwórzu, więc prawdopodobnie nikt tam stale nie przebywa. Zgadza się z moimi obserwacjami?

- Kapuję wszystko bez zastrzeżeń - stwierdził Pete. Bob i Paul kiwnęli potwierdzająco głowami.

- To dobrze - powiedział sucho Jupiter. - W takim razie proponuję, żebyśmy poczekali, aż furgonetka i ten specjalny samochód pojadą dostarczyć towar. Po ich odjeździe na terenie przyległym do magazynu nie powinno być nikogo. Jest tylko nikła szansa na to, że zjawi się tam któryś z pracowników. Paul pójdzie ze mną do sklepu i będziemy próbowali zorientować się, kto pracuje tam, a także w biurze. W tym czasie Bob i Pete prześlizną się do tylnej części posesji, żeby zobaczyć, czy naszego rowerzysty nie ma gdzieś w okolicy magazynów. A ja i Paul postaramy się zająć uwagę wszystkich tak, żeby Bob i Pete mogli spokojnie się rozejrzeć.

- Jak się to dzieje, że Bobowi i mnie przypada zawsze jakieś skradanie się czy myszkowanie? - zapytał Pete.

- Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli o szybą samochodową zapyta kierowca z prawem jazdy - stwierdził nieco oziębłym tonem Jupiter. - A ponieważ ja jestem najlepszym aktorem z całej naszej paczki, logiczne jest, że bym to ja właśnie zajmował uwagę ludzi w sklepie.

Bob roześmiał się, szczerząc zęby.

- On ma rację, Pete.

- Jak zwykle - westchnął Drugi Detektyw.

Obsługujący wózek mężczyzna ładował oba samochody jeszcze przez dobre pół godziny. Skończywszy, wskoczył do kabiny furgonetki i odjechał z podwórza, zostawiając boczną bramę otwartą. W chwilę potem mały człowieczek, który mu pomagał, wyszedł z głównego budynku, usiadł za kierownicą specjalnej ciężarówki do przewożenia dużych szyb i wyjechał przez otwartą bramę w ślad za furgonetką.

Magazyny i przyległy do nich teren zostały bez personelu.

- No dobra, chłopaki - zwrócił się Jupiter do Boba i Pete'a. - Pamiętajcie o tym, że być może mamy do czynienia z niebezpiecznym przestępcą. Gdybyście znaleźli jakikolwiek dowód na to, że nasz rowerzysta tu jest, dajcie mi znać, rysując kredą znak zapytania na przedniej ścianie najmniejszego magazynu. Paul i ja wrócimy natychmiast do Kwatery Głównej, żeby zadzwonić do komendanta Reynoldsa, a wy zostaniecie tu, żeby zbierać ewentualne dowody.

Ześliznąwszy się na dół po przeciwległej stronie pagórka, Bob i Pete ruszyli trochę

okrężną drogą w kierunku otwartej bramy, wychodzącej na boczną uliczkę. Paul i Jupiter zbiegli natomiast wprost ku ulicy, przeszli na jej drugą stronę i z obojętnymi minami wkroczyli główną bramą, a potem do sklepu Margon Glass Company.

Przy ladzie stało czterech klientów, obsługiwanych przez trzech sprzedawców. Widoczne za kontuarem regały, uginające się pod wszelkiego rodzaju artykułami ze szkła i narzędziami do użytku domowego, ginęły gdzieś w głębi budynku. Cały sklep zavalony był ramami okiennymi, lustrami i szkłem dekoracyjnym, a także akcesoriami z kutego żelaza. Po prawej stronie, w części przeznaczony dla klientów, znajdowało się okno wychodzące na dziedziniec przed magazynami. Po lewej, szklane przepierzenie, biegnące przez cały budynek oddzielało sklep od pomieszczeń biurowych, gdzie widać było trzy pracujące kobiety i czterech mężczyzn.

Jupiter i Paul stanęli za oczekującym na swoją kolej klientem i przyjrzeni się ekspedientom. Jeden z uwijającej się za ladą trójki był starszym, raczej otyłym panem, drugi był wysokim i szczupłym, ale także już niemłodą mężczyzną, trzeci zaś roslim i kościstym, wysportowanym młodzieńcem. Paul szturchnął Jupitera w łokieć i wskazał oczami w jego kierunku. Jupiter przyjrzał się uważnie młodemu człowiekowi za kontuarem.

Stojący przed nimi klient doczekał się swojej kolejki i zaczął składać zamówienie.

Spoglądając przez szklaną taflę oddzielającą biuro, Jupiter stwierdził, że wszystkie pracujące tam kobiety są młode, tylko jedna z nich była szczupła i mogła mieć nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu. Jeden z mężczyzn, wysoki i w średnim wieku, siedział samotnie we własnym gabinecie, na którego drzwiach widniała tabliczka: J. Margon, Dyrektor. Z pozostałej trójki dwaj wyglądali na młodych kancelistów, ale żaden nie wyróżniał się wzrostem. Ostatni wreszcie, wysoki i szczupły, był jednak starszym mężczyzną. Siedział przy największym biurku i uważnie obserwował swych młodszych kolegów. Najwyraźniej był to szef biura.

- Jupiter! - ozwał się nagle alarmujący szept Paula. Drugi z ekspedientów załatwił właśnie swojego klienta, ale zamiast zaoferować usługi Jupe'owi i Paulowi, pomaszerował w kierunku bocznych drzwi, prowadzących na tylne podwórze!

ROZDZIAŁ 16

O krok... no, może dwa

Stwierdziwszy, że Paul i Jupiter przeszli na drugą stronę ulicy, Bob i Pete, przyczajeni obok bocznej bramy odczekali jeszcze dwie minuty, a potem popędzili w kierunku magazynów. W pobliżu nie było żywego ducha. Tylna ściana głównego budynku miała tylko jedno okno, za którym mieścił się sklep. Wychodzące na rampę wyładowniczą drzwi, a także wyjście dla pracowników, były pozamykane.

Chłopcy wśliznęli się do najbliższego magazynu. Była to zardzewiała, stalowa konstrukcja bez ścianek działowych. W mrocznym wnętrzu majaczyły długie rzędy regałów pełnych drewnianych skrzyń ze szkłem kuchennym i stołowym, a także stojaki z wielkimi taflami szkła, owiniętymi brązowym papierem. Chłopcy wstrzymali oddech i zaczęli nad słuchiwać. W baraku panowała niczym nie zmacona cisza. Byli sami.

Przemknęli szybko między regałami, rozglądając się za jakimkolwiek śladem, jaki mógł zostawić tajemniczy rowerzysta. Stwierdzili, że nie ma tu prawie żadnych miejsc, w których można by się ukryć w razie potrzeby. Były tylko gołe ściany i wypełnione towarami półki.

Bob zabrał się do sprawdzania pustej przestrzeni pod wszystkimi półkami, zaś Pete przepatrzył szybko puste zakamarki za stojakami. Nigdzie nie było nic godnego uwagi. W tylnej części baraku znajdował się maleńki, oddzielony od reszty kantorek. Jednak także i tam stały ciężkie skrzynie ze szkłem. Jedyna szafka była pusta.

Wróciwszy do drzwi, dwaj detektywi ostrożnie wyjrzeni na dziedziniec. Dochodziły tu odgłosy samochodów podjeżdżających na parking dla klientów, na podwórzu panował jednak spokój. Żadnych ciężarówek czy furgonetek.

- Droga wolna - szepnął Pete.

Błyskawicznie przeskoczyli otwartą przestrzeń między dwoma barakami.

- Pete! - syknął nagle Bob.

Drzwi prowadzące do głównego budynku na podwórzu zaczęły się otwierać.

Jupiter podbiegł szybko wzdłuż kontuaru do miejsca, gdzie znajdowały się drzwi, którymi ekspedient miał właśnie zamiar wyjść na podwórze.

- Proszę pana, zdaje mi się, że to już nasza kolej. Trochę mi się spieszy. Wie pan, czas to pieniądz.

Ekspedient położył rękę na klamce i otworzył drzwi.

- Zaraz wracam, chłopczyku.

- Chłopczyku? Jeżeli chce pan zobaczyć chłopczyka, niech pan pójdzie do przedszkola - odciał się Jupiter. - Wolałbym, żeby się do mnie zwracano per "pan". Absolutnie muszę zdobyć nową szybę do mojego rolls-royce'a, żeby Paul, którego pan tu widzi, mógł mi ją natychmiast wstawić i niezwłocznie zawieźć mnie do Los Angeles. Jeżeli jest pan zbyt zajęty, żeby mnie obsłużyć, to może mógłbym porozmawiać z właścicielem tej firmy?

Ekspedient zawahał się, nie zdejmując dłoni z klamki.

- No więc? - powiedział wyniośle Jupiter. - Czy mogę zamienić parę stów z właścicielem? Z panem... Margonem, nie myłę się? O ile dobrze pamiętam, mój ojciec prowadzi jakieś interesy z panem Margonem, zgadza się, Paul?

Rzekłszy to, Jupiter obrócił swą okrągłą, tryskającą samozadowoleniem i powściągliwą rezerwą twarzyczkę do Paula, który ze wszystkich sił starał się powstrzymać od śmiechu. Opanował się jednak szybko i podjął grę.

- Mam wrażenie, że tak, paniczu - odparł, imitując z absolutną niemal dokładnością akcent i sposób wyrażania się Worthingtona.

To wystarczyło. Całkowicie zbaraniały ekspedient zamknął półotwarte drzwi, a potem wrócił za ladę i stanął naprzeciwko Jupitera.

- Hmm... ten tego... - zaczął niezdecydowanie - nie jestem pewien, czy mamy na składzie szyby do rolls-royce'a.

- Pan pozwala sobie kpić ze mnie, łaskawcze! - stwierdził Jupiter. Na jego twarzy malowało się bezgraniczne zdumienie.

Wyraźnie podenerwowany ekspedient zbladł.

- Muszę zobaczyć, może coś mamy, sprawdzę na zapleczu.

- Gdyby pan był łaskaw. - twarz Jupitera rozjaśniła się promiennym, życzliwym uśmiechem. - Chodzi o model silver cloud, rok 1937.

Ekspedient przełknął rozsadzającą go wściekłość, kiwnął głową i zniknął między regałami, a potem zaczął przepatrywać widoczne w głębi półki, powtarzając półgłosem podaną przez Jupitera nazwę modelu.

Zaskoczeni w połowie drogi pomiędzy dwoma magazynami Bob i Pete zamarli w bezruchu. Osłaniając dłońmi oczy od lejącego się z nieba żaru, jak urzeczeni wpatrywali się w uchylone drzwi do głównego budynku. Zdawało się im, że będą musieli gapić się na nie aż do następnego Potopu.

Po pewnym czasie, który zdawał się ciągnąć jak wieczność, drzwi poruszyły się trochę, a potem zaczęły się powoli zamykać.

- O rany - jęknął zbolałym szeptem Pete.

- Prędeż! - ponaglił go Bob. - Do następnego magazynu, zanim ktoś naprawdę stamtąd wyjdzie!

Błyskawicznie przebyli pustą przestrzeń między dwoma barakami i zagłębili się w mrocznym wnętrzu drugiego magazynu. Od środka wyglądał on identycznie jak poprzedni. Takie same rzędy regałów z półkami i stojaków ciągnące się aż do tylnej ściany. Na półkach leżały tu jednak gotowe okna w ramach, lustra, przeszklone drzwi, a nawet kompletne ścianki działowe i całe mnóstwo innych wyrobów ze szkła.

Szybko przeszukali półki i stojaki, jednak także i tu nie znaleźli nic interesującego. Wróciwszy do drzwi, wyjrżeli na puste podwórze i nie spuszczać z oczu podejrzanych drzwi do głównego budynku, popędzili poprzez skąpane w słońcu podwórze w kierunku ostatniego, najmniejszego ze wszystkich magazynu. W jego ciemnym wnętrzu spoczywały na półkach regałów, ustawionych wzdłuż ścian, wszelkiego rodzaju akcesoria do okien i szklanych drzwi, a także lustra i szklane płyty. Na stojącym pośrodku długim warsztacie widać było narzędzia do cięcia szkła i montażu.

Znalazszy się w środku, chłopcy podzielili się. Bob ruszył wzdłuż wyładowanych półek w lewo, Pete w prawo. I tu nie było jednak nic, co mogłoby dać odpowiedź na dręczące ich pytania. Oddzielony od reszty kanterek przy tylnej ścianie zawalony był dużymi tekturowymi kartonami z artykułami gospodarstwa domowego - papierowymi ręcznikami, mydłem w płynie, rolkami papieru toaletowego, papierowymi i plastikowymi kubkami, filtrami do kawy.

- Bob, mam coś! - syknął nagle Pete, który uniósł właśnie brezentową płachtę, spod której ukazał się oparty o ścianę wyścigowy rower z przerzutką.

- Jak myślisz, to jego?

- Nie jestem tego całkowicie pewien - zawahał się Bob. - Tam było za każdym razem tak ciemno, że nie udało mi się zauważyć koloru ramy.

- Siodełko jest wyciągnięte prawie do końca, w sam raz dla jakiegoś dryblasa - zauważył Pete, a potem odsunął się trochę do tyłu, aby mieć lepszy widok na lśniąca w mroku wyścigówkę. Oparł się przy tym o jedno z wielkich pudeł z papierowymi serwetkami, i o mało się nie przewrócił razem z nim.

Bob wlepił wzrok w kołyszący się lekko karton.

- Jak na pudło z papierowymi serwetkami, zachowuje się ono ciut podejrzanie -

powiedział. - Patrz, wygląda tak, jakby ktoś je otwierał, i to wiele razy. Sprawdźmy, co w nim jest.

W sekundę potem pudło było otwarte. W środku znajdował się kolarski kask, para gogli, plecak z odbiornikiem radiowym, słuchawki, a także żółta koszulka, czarne elastyczne trykoty i para pantofli, wszystko to dojazdy na rowerze.

Jupiter zachował wyniosłą postawę również po powrocie ekspedienta z zaplecza.

- Nie mamy szyb do rolls-royce'a - oświadczył sprzedawca. - Możemy sprowadzić każdy rodzaj, ale zajmie to dwa tygodnie.

- Co za niedorzeczność! - wykrzyknął Jupiter. - Nie przyjmuję tego do wiadomości! Warsztat naprawczy musi ją mieć natychmiast, i dlatego właśnie przybyłem tu osobiście.

- Przykro mi - stwierdził ekspedient i uśmiechnął się szczerząc zęby. Szansa na spławienie zarozumiałego klienta przywróciła mu zwykłą pewność siebie. - Za dwa tygodnie, na zamówienie.

Stojący przy oknie Paul zeszywniał nagle.

- Ju... hę... hę...- zająknął się, udając mały napad kaszlu. - Paniczu!

Wolniutko, niby przypadkiem, Jupiter podszedł do okna, przez które Paul wyglądał na podwórze. Na oknie we frontowej ścianie najmniejszego magazynu widniał wypisany kredą wielki znak zapytania!

- No cóż - stwierdził głośno, ale jakby do siebie - będziemy musieli dojechać do Los Angeles bez tej szyby. Mam nadzieję, że trochę świeżego powietrza dobrze mi zrobi, nieprawdaż? Paul, gdzie się tak gapisz? Idziemy.

Rzekłszy to, Pierwszy Detektyw wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i nie spojrzawszy nawet w stronę zdezorientowanych ekspedientów i obserwujących scenę klientów, dumnie pomaszerował do drzwi. Paul pospieszył posłusznie tuż za nim.

Kiedy obaj znaleźli się na dworze, uśmiech momentalnie zniknął z jego twarzy. Ponaglił Paula ruchem ręki i obaj popędzili na drugą stronę ulicy, a potem wokół podstawy pagórka do pozostawionych tam rowerów. Wskoczywszy na siodelka, pomknęli co sił w nogach do Kwatery Głównej, aby zadzwonić do komendanta Reynoldsa.

Bob i Pete siedzieli skuleni naprzeciwko frontowego okna małego magazynu. Od chwili gdy przy pomocy napisanego kredą znaku zapytania podzielili się z Jupiterem i Paulem wieścią o swym znalezisku, mogło upłynąć jakieś dziesięć minut.

- Nie powinno im to zająć więcej niż pół godziny - stwierdził Bob. - Około dziesięciu

minut na dojazd do składu złomu, być może tyle samo na zapoznanie komendanta Reynoldsa ze szczegółami całej sprawy, no i jeszcze dziesięć albo piętnaście minut na dotarcie policyjnego patrolu tu, gdzie teraz jesteśmy.

- Wolałbym, żebyśmy złapali go sami - powiedział Pete.

- Wystarczy, że rozwiążaliśmy tę zagadkę - pocieszył go Bob. - Ten facet może być niebezpieczny. Nie zapominaj o tym, że nie znaleźliśmy jego pistoletu.

- Mimo wszystko wolałbym... - próbował obstawać przy swoim Pete. Ale właśnie w tym momencie przez otwartą ciągle boczną bramę wjechała z piskiem opon sportowa corvette, połyskująca złotawym lakierem o ciepłym miodowym odcieniu i, zarzucając ostro tylnymi kołami, zatrzymała się na parkingu na tyłach głównego budynku. Zza kierownicy wyskoczył młody człowiek i ruszył wielkimi krokami w stronę wejście.

- Pete, widzisz go? - szepnął Bob.

Brawurowy kierowca złotego bolidu był wysokim i szczupłym mężczyzną o bladej twarzy i długich, falistych włosach sięgających kołnierza niebieskiej, sportowej bluzy. W jego twarzy zwracał uwagę wąski nos i równie wąskie, zacięte usta. Idąc rozglądał się jakby trochę nerwowo, ale jego nogi, obute w niskie, czarne trzewiki, śmigały w zgrabnych, szarych spodniach z taką pewnością siebie, jakby ich właściciel był również właścicielem całej firmy.

- On pasuje bez pudła do tego, co mówił Jupe o przypuszczalnym wyglądzie naszego ptaszka - wykrzyknął półgłosem Bob.

Odprowadziwszy wzrokiem młodego człowieka do drzwi głównego budynku, Pete spojrzał na zegarek.

- Powinniśmy zapisać numery tej corvetki - powiedział. - On może stąd odjechać, jeszcze zanim zjawią się gliny.

Drugi Detektyw spisywał właśnie litery i cyfry z tablicy rejestracyjnej sportowego cacka, kiedy tylne drzwi budynku otworzyły się znowu i ukazał się w nich ten sam szczupły młodzieniec i energicznym krokiem ruszył w kierunku magazynu, w którym siedzieli skuleni pod oknem Bob i Pete.

- On tu idzie!

Przerażeni chłopcy zaczęli się desperacko rozglądać za jakąś kryjówką.

- Najniższa półka! - syknął któryś z nich.

Za wielkim pudłem, stojącym tuż koło drzwi, widać było trochę wolnego miejsca na samym dole regału. Obaj detektywi wcisnęli się tam i znieruchomieli.

Drzwi magazynu otworzyły się z głośnym łomotem. Młodzieniec wpadł do środka i pobiegł do małego kantorku. Chłopcy wyraźnie słyszeli jego przyspieszony oddech.

Kiedy wyszedł stamtąd, miał na głowie kask kolarski i gogle dyndające na szyi. Z ramienia zwisał mu wypchany pozostałym ekwipunkiem plecak. Jedną ręką popychał rower, na kierownicy którego zawieszony był jakiś pakunek.

- Zabrał ze sobą wszystkie dowody! - szepnął gorączkowo Pete. - Jeżeli je zniszczy, nigdy nie udowodnimy mu, że to on wybijał szyby!

- Nie możemy go przecież zatrzymać, Pete. To zbyt niebezpieczne!

W tym momencie Pete wypełznął prawie z ukrycia. Bob pospieszył tuż za nim i w chwilę potem obaj znaleźli się znowu przy oknie.

- Ładuje wszystko do samochodu!

Młody człowiek z nerwowym zapamiętaniem starał się upchnąć swoją wyścigówkę we wnętrzu corvetki.

- On mi wcale nie wygląda na jakiegoś niebezpiecznego osobnika - powiedział Pete, a potem, zanim Bob zdążył zaprotestować, podniósł się i ruszył na dwór, w kierunku sportowego auta. Kiedy miotający się nad niesfornym rowerem młodzieniec zobaczył go, wypuścił z rąk wyścigówkę i dał nura do wnętrza samochodu. Pete puścił się biegiem.

Młody człowiek odwrócił się w jego stronę z wielkim, groźnie wyglądającym pistoletem w dłoni. Broń była wycelowana prosto w pierś Pete'a.

ROZDZIAŁ 17

Pogromca... szyb schwytyany!

Jupiter i Paul łazili tam i z powrotem przed bramą składu złomu, spoglądając bezustannie w głąb ulicy, to w jedną, to w drugą stronę. Ujrzawszy narysowany kredą znak zapytania, który był umówionym sygnałem, najszybciej jak tylko mogli popedałowali do swojej siedziby i zadzwonili do komendanta Reynoldsa. W krótkich słowach przedstawili mu wszystko, co wydarzyło się od jego ostatniej rozmowy z Jupiterem.

- Margon Glass Company? - zdziwił się szef komisariatu po drugiej stronie słuchawki.

- Jupiterku, prawie nie jestem w stanie w to uwierzyć. Osobiście znam Jima Margona.

- Obawiam się, sir, że mamy w ręku dowody. Bob i Pete czekają z nimi w magazynie firmy.

- Zabierzemy was obu po drodze. Czekajcie przed składnicą. Tak więc Jupiter i Paul nerwowo kręcili się przed bramą złomowni, oczekując na przyjazd policyjnego radiowozu. Co parę sekund Pierwszy Detektyw spoglądał na zegarek.

- Nie obawiasz się przypadkiem, że Bob i Pete mogą być w niebezpieczeństwie? - zapytał Paul tonem zdradzającym zaniepokojenie.

- Zabezpieczanie dowodów przestępstwa zawsze jest niebezpieczne - stwierdził ponuro Jupiter. - Zwłaszcza gdy chodzi o ćwierć miliona dolarów.

W tym właśnie momencie zza rogu wyjechały trzy policyjne samochody. Siedzący za kierownicą pierwszego z nich komendant Reynolds zatrzymał się naprzeciwko bramy. Chłopcy wskoczyli do środka i cała kawalkada ruszyła w kierunku siedziby Margon Glass Company.

- Jesteś pewien tego, co mi powiedziałeś, Jupe? - zapytał poważnym tonem szef policji. - Naprawdę za tymi stłuczonymi szybami kryje się ktoś od Margona? .

- Jeśli przeanalizuje pan uważnie całą sprawę, będzie to jedyne sensowne rozwiązanie całej zagadki - wyjaśnił spokojnie Jupiter. To jedyna firma w Rocky Beach, która sprzedaje nowe szyby do samochodów, i tylko oni ciągną zyski z każdej rozbitej szyby.

- Nie mogę uwierzyć, że Jim Margon byłby zdolny do czegoś takiego.

- Jest całkiem prawdopodobne, że odbywa się to bez wiedzy pana Margona. A nawet byłbym gotów się założyć, że pan Margon nic o tym nie wie. Rozwijanie biznesu w taki sposób byłoby dla niego zbyt ryzykowne, sir.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedział komendant Reynolds. - Jesteśmy już

prawie na miejscu - dodał po chwili, a potem rzucił kilka poleceń przez radio. Kiedy do siedziby Margon Company było już tylko kilkadziesiąt metrów, wszystkie policyjne wozy zwolniły.

- Panie komendancie, boczna brama jest otwarta - powiedział Jupiter.

Szef policji kiwnął głową i polecił swym ludziom, aby skręcili w wąską uliczkę dojazdową. W chwili gdy jadące z tyłu wozy spełniły polecenie, z bramy wypadł długi, sportowy samochód o złotawym odcieniu lakieru i zataczając się dziko, pomknął w ich kierunku. Na widok policyjnych aut kierowca bolida nacisnął ostro na hamulec i zatrzymał się, a potem z piskiem opon wycofał się z powrotem do bramy i, pozostawiając za sobą swąd spalonej gumy, ruszył wściekle w odwrotnym kierunku. W tym samym momencie z bramy wybiegł Bob. Ujrawszy radiowozy, zaczął wymachiwać dziko rękami.

- On ma Pete'a w samochodzie!

Komendant Reynolds pochylił się do radiowozu.

- Zatrzymać tę corvetę! - warknął przez zaciśnięte zęby.

Policyjne wozy rzuciły się w pościg za uciekinierem. Nie trwał on długo, ponieważ uliczka okazała się ślepyim zaułkiem. W parę sekund później corvette zatrzymała się, szurając oponami tuż przed zamykającą ją barierką. Z auta wyskoczył wysoki, młody mężczyzna w niebieskiej bluzie i z przerażeniem w oczach popędził w kierunku otwartej przestrzeni, poprzecinanej głębokimi jarami i wąwozami.

- Zatrzymać go! - rozkazał komendant Reynolds.

- Jeżeli uda mu się dopaść pierwszego wąwozu, nigdy go nie złapiemy - krzyknął Jupiter.

Wciąż jeszcze policjantów dzielił spory dystans od wylotu ślepej uliczki.

- On naprawdę zwieje - jęknął Paul.

Ze sportowej corvetki wyskoczyła jednak jeszcze jedna postać i rzuciła się w szaleńczy pościg za uciekającym mężczyzną. Był to Pete! Biegąc po płaskim polu, dzielącym wylot uliczki od pierwszego wąwozu, szybko doganiał uciekiniera i w chwili gdy policjanci dojechali do bariery i puścili się biegiem przez puste pole, rzucił się w kierunku wiejącego wielkimi susami młodego człowieka i obalił go na ziemię!

W jednej chwili uciekinier zerwał się na nogi, jednak trzymający go obiema rękami za kostkę Pete nie puścił, a kiedy tamtemu udało się uwolnić jedną nogę, Pete chwycił go za drugą. Nadbiegający policjanci położyli wreszcie kres tej szamotaninie. Pete zwolnił chwyt i usiadł na trawie, szczerząc zęby w radosnym uśmiechu.

- Macie tu waszego pogromcę... szyb samochodowych! - powiedział z kpiarskim

błyskiem w oczach.

Młody człowiek starał się wyrwać z rąk przytrzymujących go policjantów.

- Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale dostaniecie za swoje, gnojki! Skąd te łobuzy się tu wzięły? Panowie, jesteście policjantami, więc aresztujcie ich!

- Panie komendancie, niech pan zajrzy do jego samochodu - powiedział Pete, podnosząc się z ziemi.

Prowadzony przez policjantów w kierunku bariery, koło której stał już Bob, nie spuszczać oka ze sportowego auta, młody mężczyzna zaczął szpetnie przeklinać.

- Bob, otwórz drzwi - powiedział Pete.

Stojący wokół samochodu policjanci zobaczyli wepchnięty z tyłu rower wyścigowy. Na siedzeniu leżał kask, gogle i plecak z radiem i słuchawkami, widać też było fragmenty kolarskiego stroju.

- Oni włożyli to wszystko do mojego auta! - wrzasnął właściciel złotej corvetki. - To jest fałszywe oskarżenie!

- Mamy świadków, panie komendancie, są wśród nich także pańscy funkcjonariusze, którzy widzieli go w czasie zasadzek - powiedział Jupiter. - Przekona się pan, że cały ten ekwipunek jest jego własnością. Można też sprawdzić, że ten rower jest zarejestrowany na jego nazwisko.

- A w każdym razie - dodał Pete - jeśli pan zajrzy pod przednie siedzenie, znajdzie tam pan jego pistolet pneumatyczny. Założę się, że bez żadnych problemów udowodni pan, że to jego broń, ponieważ na pewno są na niej odciski jego palców.

Komendant Reynolds ostrożnie zajrzał we wskazane miejsce. Wyciągnąwszy z kieszeni chusteczkę do nosa, rozłożył ją na dłoni, żeby nie zostawić odcisków własnych palców, a potem wydobyl spod fotela dziwnie wyglądający pistolet. Ujął go za koniec grubej lufy i ostrożnie wsunął do plastikowej torebki na dowody rzeczowe. Trzej Detektywi pochylili się nad nim, żeby mu się dobrze przyjrzeć. Wykonany z oksydowanej stali, przypominał trochę prawdziwy, bojowy pistolet wielostrzałowy, miał jednak nad lufą długi pręt, wyglądający jak długa, dużo cieńsza lufa. Ważył prawie kilogram, a na lufie wygrawerowany był napis: "THE WEBLEY PREMIER - Made in England".

- To jest pistolet pneumatyczny, kaliber dwadzieścia dwa - poinformował chłopców komendant Reynolds. - Ten pręt nad lufą służy do napinania sprężyny, która popycha tłok sprężający powietrze podczas strzału. Dobra konstrukcja, wystarczająco mocna, aby nabój roztrzaskał każdą szybę, przynajmniej z niewielkiej odległości. - Rzekłszy to, kiwnął ręką na swoich ludzi. - Podejrzany zostaje tymczasowo aresztowany. Zabierzcie go do samochodu.

Pojedziemy najpierw do Jima Margona, żeby pogadać z nim o tej sprawie. A teraz chciałbym, chłopaki, żebyście mi dokładnie opowiedzieli, co tu się właściwie wydarzyło.

Kiedy całe towarzystwo ruszyło wolnym krokiem w kierunku Margon Glass Company, Bob zrelacjonował w paru słowach, jak to wraz z Pete'em odkryli rower i cały ekwipunek ukryty w magazynie i jak jego właściciel próbował zabrać to wszystko i ulotnić się, co z łatwością by mu się udało, gdyby na jego drodze nie stanął Pete.

- Zdaję sobie sprawę, że to było szalone - przyznał Pete. - Ale on nie wydał mi się wcale niebezpieczny. Przypominał raczej przestraszonego dzieciaka. No więc wyskoczyłem z nim. A on na mój widok złapał za ten pneumatyczny pistolet. Wziął mnie na muszkę i zmusił do załadowania roweru, a potem kazał mi wsiąść do samochodu. Nie przestał celować we mnie nawet w czasie jazdy. Ale zaraz potem zobaczył was i dostał straszego cykora. Na tyle przynajmniej, żeby całkiem zapomnieć o tym, że z tej uliczki nie ma drugiego wyjazdu. Co było dalej, widzieliście sami.

- Miałeś szczęście - stwierdził ze spoważniałą nagle miną komendant Reynolds. - Pistolet pneumatyczny to nie zabawka. Gdybyś został trafiony z bliska, mógłbyś stracić życie.

Przy bocznej bramie czekał na nich niewielki tłumek pracowników Margon Company. Kiedy policjanci weszli na podwórze, jeden z pracowników pobiegł do głównego budynku. W chwilę potem w kierunku komendanta Reynoldsa zaczął się przepychać ten sam mężczyzna w średnim wieku, którego Jupiter i Paul widzieli przez szklaną ścianę, siedzącego za biurkiem w oddzielnym od biura gabinecie.

- William! - wykrzyknął na powitanie. - Co tu się dzieje?

- Powiedz mi, Jim, znasz tego młodzieńca? - zapytał w odpowiedzi szef policji, stojący nieco z boku.

- Och, komendancie, przepraszam, ale wcale cię nie zauważyłem w tym zamieszaniu - powiedział pan Margon. - Czy go znam? Oczywiście, że tak. To mój syn, William. Rok temu wrócił z college'u i zaczął pracować w mojej firmie. Miał doskonałe wyniki. Dlaczego twoi ludzie go trzymają? Co tu robią ci chłopcy?

Komendant wskazał ręką rower, prowadzony przez jednego z policjantów.

- Powiedz mi, Jim, czy to jest rower twojego syna? Także kask i gogle?

- Tato! - krzyknął William Margon. - Nic im nie...!

- Rower? - zapytał pan Margon, marszcząc brwi na widok pięknej wyścigówki. - Tak, mój syn trenuje w każdy poniedziałek i środę na krytym torze w klubie kolarskim. Ale cały ekwipunek przechowuje w domu, a nie tutaj, na tym podwórzu. William, co tu robią te kolarskie manele?

Za całą odpowiedź William Margon rzucił ojcu wściekłe spojrzenie.

- Obawiam się, Jim, że mam dla ciebie niedobre wieści - oznajmił komendant Reynolds, a potem opowiedział panu Margonowi o aferze z tłuczeniem szyb samochodowych i o pistolecie pneumatycznym jego syna.

- Wybijał szyby w samochodach? - zapytał z niedowierzaniem w głosie pan Margon. - A ja... zaledwie trzy miesiące temu mianowałem go szefem sprzedaży szyb samochodowych. I doskonale się sprawdził na tym stanowisku. Obroty działu osiągnęły poziom, jakiego nie miały nigdy przedtem. Byłem pewien, że on... - pan Margon zawiesił na chwilę głos i utkwiał piorunujące spojrzenie w synu. - Więc ty osobiście wytłukłeś wszystkie te szyby, które udało się nam dodatkowo sprzedać???

- Ojczy, oni kłamią! Zupełnie nie wiem, o czym oni tu mówią! Padłem ofiarą zbiegu jakichś przypadkowych okoliczności! Ktoś ukradł mój rower i całe wyposażenie, a potem włożył to wszystko do mojego samochodu! Być może zrobiły to te łobuziaki. Nikt mi nie udowodni, że stłukłem choćby jedną szybę. Żaden z policjantów ani nikt inny nie widział mojej twarzy!

- Udowodnimy panu z całą pewnością, kiedy tylko dowiemy się, co pan zrobił ze skradzionym orłem! - rzucił jednym tchem Bob.

Pan Margon zamrugał oczami.

- On ukradł jakiegoś orła?

- Nie chodzi o prawdziwego ptaka, proszę pana - wyjaśnił Bob. - Ale o rzadką monetę. Ta, którą ukradł pański syn po stłuczeniu okna w samochodzie, była tak zwanym podwójnym orłem, czyli złotą amerykańską dwudziestodolarówką z 1907 roku. Ma ona wartość dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, a on...

- Dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów? - powtórzył trzęsącym się głosem pan Margon.

Twarz Williama Margona pobladła.

- Nie możecie oskarżyć mnie o coś takiego! Nigdy nawet nie słyszałem o żadnym podwójnym orle. No dobrze, przyznaję, że to ja wytłukłem te szyby. Chciałem powiększyć w ten sposób obroty naszej firmy. Ale nigdy nie ukradłem żadnej monety!

Do rozmowy włączył się nagle Jupiter, który nie zabierał głosu do chwili, gdy Bob i Pete opowiedzieli komendantowi Reynoldsowi o tym, jak znaleźli ekwipunek Williama Margona.

- Nie - powiedział stanowczym tonem. - Rzeczywiście nie przypuszczam, aby pan to zrobił.

ROZDZIAŁ 18

Przechytrzyć złoczyńcę!

Bob, Pete i Paul wytrzeszczyli na Jupitera oczy, w których malowało się bezgraniczne zdumienie. Jako pierwszy odzyskał mowę Bob.

- Jak to, Jupe, to nie on ukraść orła?

- Słuchaj no, Jupciu - powiedział komendant Reynolds unosząc brwi. - Wiesz może o tej sprawie coś, czego my nie wiemy?

- Taką przynajmniej mam nadzieję - stwierdził z poważną miną i bez pośpiechu Jupiter. - Nie mam jednak absolutnej pewności.

- Lepiej by było, żebyś ją miał - powiedział komendant Reynolds. - Chodzi o poważne przestępstwo.

- Na razie jestem pewien tylko tego, sir, że orła nie ukraść ten tu rowerzysta. Nie mam natomiast pewności co do tego, kto to rzeczywiście zrobił. Ale gdyby pan komendant udzielił mi swego pozwolenia, to myślę, że mógłbym się tego dowiedzieć.

Szef policji pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Chciałbym wiedzieć, jak doszedłeś do tak zaskakującego wniosku. Zwłaszcza wobec twierdzeń, które podtrzymywałeś przez cały czas, że złodziej i facet tłukący szyby to ta sama osoba.

- Nie, proszę pana, nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek sugerował coś takiego. Ale ponieważ Jarvis Temple robił tyle hałasu, zwyczajnie połączyliśmy obie te sprawy w jedno dochodzenie. Teraz sądzę jednak, że istnieje inne rozwiązanie tej zagadki.

- Jakie, szefie? - zapytał niesamowicie podniecony takim obrotem sprawy Pete.

- Że mamy do czynienia z drugim przestępcą, który kryje się za plecami pierwszego.

- Kryje się za plecami? Jak on to robi? - zapytał marszcząc brwi Paul.

- Kiedy ktoś popełnia serię identycznych przestępstw - powiedział komendant Reynolds - i nie ma wątpliwości, że są one dziełem tego samego osobnika, zupełnie inny przestępca próbuje czasami podszyć się pod niego, popełniając nową zbrodnię w taki sposób, aby została przypisana temu pierwszemu.

Jupiter potwierdził to spostrzeżenie kiwnięciem głową.

- Wydaje mi się - powiedział - że ktoś, kto wiedział o tych lecących bezustannie szybach, postanowił wykorzystać tę sytuację i wybić szybę w samochodzie Sarah Temple, aby ukraść z niego podwójnego orła. Miał nadzieję, że ta kradzież obciążą konto wandalę

tlukącego szyby w całym mieście.

- Twoja analiza, Jupiterku, oparta jest głównie na domysłach - zauważył komendant Reynolds.

- Być może, proszę pana - przytaknął Jupiter - ale doszedłem do tego wniosku w momencie, gdy Pete opowiadał nam o tym, jak to William Margon wpadł nagle do biura i biegiem popędził do magazynu, aby zabrać schowany rower i resztę ekwipunku. Chciał ukryć wszystko gdzie indziej.

Zapadła głucha cisza. Jupiter rozejrzał się po coraz bardziej zaniepokojonych twarzach wszystkich obecnych i podjął po krótkiej przerwie swój wywód.

- Niemal od pierwszej chwili czułem, że w tę sprawę wmieszany jest ktoś jeszcze. Ktoś, kto skupił swoją uwagę na poczynaniach naszej trójki, to jest Boba, Pete'a i mnie. Osobnik ten, kimkolwiek by nie był, próbował na początku zorientować się, co my robimy, zaczął więc myszkować po składnicy i podsłuchiwać nas przy pomocy jakichś mikrofonów. Kiedy to mu się nie powiodło, założył urządzenie podsłuchowe podłączone do naszej linii telefonicznej. Dzięki temu był w stanie ostrzec Williama Margona, że jest on obserwowany przez dzieciaki z naszego "Systemu połączeń", a nas wpuścić na fałszywy trop, umożliwiając Margonowi bezpieczną ucieczkę.

- W takim razie oni musieli działać w zмовie, tak, Jupe? – zapytał Pete.

Jupiter pokręcił przecząco głową.

- Odkąd udało się nam przygwoździć tego wandalę od szyb, wydaje się jasne, że działał on w pojedynkę, żeby podnieść sprzedaż w firmie Margon Glass. A ten drugi osobnik próbował ubezpieczyć nie wandalę, ale siebie samego! Nie chciał, żeby złapano rowerzystę wybijającego szyby, ponieważ w takim wypadku policja dowiedziałaby się natychmiast, że to nie on zwędził orła!

- Słuchaj no, chłopcze, jesteś pewien tego, co mówisz? - zapytał komendant Reynolds tonem zdradzającym niejakię wątpliwość.

- Tak, panie komendancie. Rzeczywiście jestem pewien, że ten kryjący się za plecami rowerzysty osobnik dziś zadzwonił do młodego Margona, żeby go ostrzec i tym samym zapewnić bezpieczeństwo sobie samemu - stwierdził Pierwszy Detektyw, a potem zwrócił się wprost do Williama Margona.

- Czy tak rzeczywiście było?

Młody człowiek wlepił w Jupitera zdumione spojrzenie.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Więc kto rzeczywiście zadzwonił do pana niedawno temu i powiedział, że pański

ekwipunek, schowany w magazynie, został odkryty i że jedzie tu policja?

Młody Margon kiwnął głową.

- Ten sam głos ostrzegł mnie w poniedziałek wieczorem, żebym opuścił Olive Street.

- A ten głos był może raczej wysoki, ale jakby przytłumiony? - zapytał Jupiter. - Trochę zachrypnięty i z lekkim orientalnym akcentem?

Tym razem kompletnie osłupiały William Margon przytaknął tylko skinieniem głowy.

- I nie domyśla się pan, do kogo mógł należeć?

- Nie, zupełnie nie.

Także komendant Reynolds skinął z namysłem głową.

- Rzeczywiście, był meldunek o jakimś dziwnym ostrzeżeniu, które zostało nadane przez radio na policyjnej częstotliwości. Mówiło ono coś o tym, że ktoś został zauważony czy odkryty i powinien opuścić Olive Street. Masz słuszość, Jupiterku, w to wszystko musi być wmieszany ktoś jeszcze. Co proponujesz?

Jupiter zamyślił się.

- Osobnik, którego szukamy, doskonale zna się na elektronice i ma do dyspozycji nadajnik radiowy. Moglibyśmy spróbować rozejrzeć się za kimś, kto by pasował do takiego portretu. Ale myślę, że mamy na niego lepszy sposób. Przypuszczam, że gdyby mi pan zostawił popołudnie na przygotowanie i obmyślenie wszystkiego, mógłbym oddać tego złodzieja w pańskie ręce jeszcze dziś wieczorem.

- Doskonale - oświadczył bez wahania szef policji, a potem zwrócił się znowu do pana Margona i jego syna. - Obawiam się, Jim, że będziemy musieli zabrać twojego chłopaka do komisariatu.

Pan Margon z zasmuconą miną rozłożył ręce i spojrzał na syna.

- Pewno nie zostaniesz uznany, Williamie, za zwykłego złodzieja czy przestępcę, masz jednak na swoim koncie serię poważnych wandalskich wyczynów. Jak mój własny syn mógł popełnić coś takiego? Co cię opętało, żeby to zrobić?

- Och, ojcie, chciałem tylko rozkręcić nasze interesy i zarobić w końcu jakieś większe pieniądze.

- Są rzeczy ważniejsze od pieniędzy, Williamie.

- Chciałem zostać twoim najlepszym menedżerem. Pragnąłem odnieść sukces! Co w tym złego?

- Złego? Nic, mój synu - stwierdził ze smutkiem pan Margon. - Tyle że ważniejsze jest, jak się odnosi sukces, niż to, ile ten sukces przynosi zysków. Robienie pieniędzy jest tylko jednym z elementów naszej strategii, a nie jedynym celem.

-Ale ja... chciałem, żebyś był ze mnie dumny, ojczy.

- Nie, synu, chciałeś jedynie wyrzucić na mnie jak największe wrażenie. Oparłeś swój sukces na samych błędnych przesłankach. Nie postawiłeś sobie za cel dokonania wielkich rzeczy, ale sam chciałeś być wielką figurą. No cóż, będziesz musiał teraz za to zapłacić.

Komendant Reynolds skinął na swoich ludzi, którzy poprowadzili Williama Margona do policyjnego samochodu. Ojciec patrzył za nim ze smutkiem.

- Czy zostaną mu postawione zarzuty o popełnienie przestępstwa, komendancie? - zapytał jeszcze szefa policji.

- Trzeba będzie przeprowadzić dochodzenie - odparł Reynolds. - Ale jeśli pokryje się pokrzywdzonym poniesione straty i pogada z sędzią, myślę, że może się to skończyć zawieszeniem i wyznaczeniem okresu próbnego.

Trzej Detektywi nie czekali na zakończenie tej interesującej skądinąd rozmowy. Jupiter dał znak kolegom i wkrótce potem cała czwórka wraz z Paulem znalazła się po drugiej stronie ulicy i ruszyła podnóżem pagórka do miejsca, w którym czekały jeszcze rowery Pete'a i Boba, a potem skierowała się z powrotem do składnicy złomu.

Po kolacji Jupiter udał się do ukrytej pod zwałami żelastwa przyczepy i usiadłszy za biurkiem, wykręcił numer telefonu Drugiego Detektywa.

- To ty, Pete? Weź Boba i Paula i przyjedźcie wszyscy tu, do Kwatery Głównej! Wiem już, kto zwędził tego podwójnego orła!

- O rany! Niesamowite! - odparł Pete po drugiej stronie linii.

- Jesteś pewien, że nie zrobił tego facet na rowerze, którego przyskrzynała dziś policja, William Margon?

- Nie, Pete, to nie on. Jestem pewien, że monetę ukradł ktoś, kto się skrył za jego plecami. Ale już wiem, kto to jest!

- Kto, Juve? Powiedz - poprosił błagalnym tonem Pete.

- Wolę pokazać wam dowód - odparł ze złośliwą satysfakcją w głosie Jupiter. - Sami będziecie mogli stwierdzić, czy on nie wystarczy, żeby potwierdzić w decydujący sposób to, co mówię. Mam go tu na dworze, w warsztacie. Przyjedźcie najpóźniej za półgodziny. Jak będziemy już mieli pewność, kto jest złodziejem, zawieziemy dowód komendantowi Reynoldsowi.

- Juve, nie bądź świnia, powiedz, coś tam znalazł - jęknął Pete.

Jupiter parsknął do słuchawki krótkim, urywanym śmiechem, w którym można było wyczuć przekorę pomieszaną z samozadowoleniem.

- Mogę ci tylko zdradzić, że nasz złodziejaszek popełnił jeden malutki, ale decydujący błąd - stwierdził na zakończenie i odwiesił słuchawkę. Nie opuścił jednak przyczepy, ale rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaczął mruczeć coś do siebie, spoglądając co pewien czas na zegarek. Jego jasne oczy połyskiwały coraz większym podnieceniem. Rzuciwszy okiem bodaj po raz dziewiąty na tarczę zegarka, podniósł się i stanąwszy na środku pokoju, powiedział głośno:

- Czas na nas, Watsonie! Czuję zapach zwierzyny!

Rzekłszy to, uniósł zapadłe drzwi i opuścił się do tunelu, łączącego Kwaterę Główną z warsztatem, a potem, starając się nie zrobić najmniejszego hałasu, podpełznął do jego wylotu. Znalazłszy się tam, zamarł w bezruchu, niewidoczny niczym cień nocnego ptaka, i zaczął obserwować warsztat pogrążający się w coraz gęstszym mroku wraz z całym Rocky Beach.

ROZDZIAŁ 19

Złodziej zdemaskowany!

Pierwszy cichy szmer doszedł z tylnej części składnicy, z okolicy Czerwonej Furtki Korsarza. Skulony w mrocznym wylocie Tunelu Drugiego Jupiter jeszcze bardziej nastawił uszu.

Dźwięk mógł pochodzić od zarzucania kotwiczki ze sznurem, umożliwiającym wspięcie się na ciągnący się nad całym ogrodzeniem daszek. W chwilę potem doszły niewyraźne, ledwo słyszalne odgłosy po blaszanym daszku, wreszcie głuchy i miękki dźwięk, tak jakby coś spadło z daszku na ziemię.

Jupiter czekał cierpliwie.

Niedługo potem doszło go grzechotanie jakichś blaszanych przedmiotów, tak jakby ktoś potracił stos rynien i rur ściekowych, złożonych na kupę o parę metrów od tylnego płotu. Nie było wątpliwości: ktoś powoli i ostrożnie zmierzał w stronę urządzonego pod gołym niebem warsztatu, na który wychodził Tunel Drugi z zaczajonym u jego wylotu Jupiterem.

Kolejnym odgłosem było głuche uderzenie i stłumiony krzyk bólu, doszedł on jednak z całkiem innego kierunku - od strony wejścia do warsztatu, gdzie leżał stos ciężkich kłód i innych rupieci, ciągnący się niemal do głównej bramy składu.

Jupiter jęknął w duchu i wstrzymał oddech. Czy ten odgłos i krzyk mogły zostać dosłyszane w okolicach tylnego płotu? Pierwszy Detektyw jeszcze bardziej wyteżył słuch, starając się wychwycić najłżejsze nawet szmery.

Przez chwilę, która ciągnęła się jak wieczność, panowała głucha cisza. Słyszać było jedynie dalekie odgłosy układającego się do snu miasta i niewyraźny szum samochodów, pędzących nadmorską autostradą. Jupiter odruchowo zaczął ssać dolną wargę.

Nagle usłyszał ciche skrzypienie drewnianych listew, dochodzące z bliska, z okolicy wejścia do warsztatu! Ktoś próbował wspiąć się na stos leżących tam starych drzwi, aby umożliwić sobie obserwowanie warsztatu z pewnej wysokości.

Zaczajony w ciemnym wnętrzu rury Jupiter znieruchomiał jeszcze bardziej. W chwilę potem usłyszał głuche tąpnięcie, tak jakby ktoś zeskoczył z niewielkiej wysokości na ziemię, i odgłosy ostrożnych kroków tuż koło swojej głowy!

Powoli zaczął wyczuwać raczej, niż widzieć czarny cień postaci, stojącej w warsztacie o nie więcej niż półtora metra od wylotu tunelu. Jeszcze raz wstrzymał oddech.

Niemal niewidoczna w mroku postać zdawała się nadśluchiwać, zachowując

maksymalną ostrożność. Mogła się tu zjawić tylko w jeden sposób: ześlizgując się ze stosów żelastwa, otaczających pustą przestrzeń warsztatu.

Jupiter czekał.

Cień poruszył się nagle i po warsztacie, półkach i stole do pracy zaczął myszkować cieniutki strumyczek światła. Tajemnicza postać oddaliła się o parę kroków od wylotu Tunelu Drugiego i znalazła się w kręgu bladego światła, padającego od ulicznych latarni. Jupiter mógł teraz lepiej się jej przyjrzeć. Miał przed oczami osobę nieokreślonej płci, ubraną całkowicie na czarno, w obcisłych, czarnych dżinsach, czarnym sweterku, czarnej narciarskiej kominiarce, czarnych rękawiczkach i również czarnych, sportowych półbutach.

Ukryty w ciemnej rurze Pierwszy Detektyw śledził wzrokiem tajemniczego przybysza, który okrążał powoli cały warsztat, świecąc sobie maleńką latareczką wielkości długopisu. W jego ruchach było coś, co wydało mu się znajome. Jupe był pewien, że gdzieś już widział kogoś, kto... Nagle uświadomił sobie, kogo.

- Pani Sarah Temple, jak przypuszczam?

Ciemna postać zakręciła się w miejscu, omal nie gubiąc latarki. W wąskim otworze kominiarki błysnęło dwoje ciemnych oczu, utkwionych w twarzy Pierwszego Detektywa, który jednym susem wyskoczył z rury i stanął na nogach.

- Powinienem być domyślić się tego od razu - stwierdził nieco kpiarskim tonem Jupe. - Już wtedy, gdy pani wuj czy stryj powiedział, że zupełnie go wykończyła pani szybka jazda i ustawiczne słuchanie radia CB. Zapewne jeździ pani tym małym czerwonym datsunem, którego widzieliśmy na podjeździe naszego domu i którym przyjechała pani tu za pierwszym razem, żeby myszkować po składnicy. Antena satelitarna także należy do pani. Zna się pani tak samo doskonale na nadajnikach radiowych i telewizji, jak i na całej elektronice, no i prawdopodobnie jest pani radioamatorem. A pewno uprawia pani po trosze także wspinaczkę i, sądząc po tej kominiarce, w której ukryła swoją twarzyczkę, narciarstwo.

- Ja... ja niczego nie ukryłam - stwierdziła Sarah Temple zrywając kominiarkę, a potem potrząsnęła swoimi długimi, czarnymi włosami, które opadły jej na ramiona. - Przyjechałam tu tylko po to, żeby porozmawiać z tobą o moim stryju. Po prostu lubię nosić tę kominiarkę. Mój stryj zmienił zdanie i chciałby was wynająć. Ma zamiar...

- Ach, tak - powiedział z niewzruszonym spokojem Jupiter. - Więc to pani zleciła swemu kuzynowi Willardowi, żeby zadzwonił do nas wtedy i zaprosił nas do waszego domu, aby omówić sprawę monety waszego stryja. Ta rozmowa była pani potrzebna, ponieważ siedziała pani wtedy na telefonicznym słupie, udając technika z centrali, dzięki czemu mogła pani ustalić właściwe przewody w skrzynce telefonicznej. No i oczywiście wołała pani, żeby

nie było nas w pobliżu, jak będzie pani zakładać swoje urządzenie podsłuchowe.

- Tyś chyba oszalał! Jakie urządzenie podsłuchowe?

- To samo - stwierdził spokojnym tonem Jupiter - dzięki któremu znalazła się tu pani dzisiaj, żeby zabrać stąd dowód na to, że to pani ukradła podwójnego orła. - Mówiąc to, Pierwszy Detektyw uważnie obserwował dziewczynę. - Mogła się pani dowiedzieć o istnieniu tego dowodu tylko w jeden sposób: podsłuchując moją rozmowę telefoniczną z Pete'em, podczas której poinformowałem go o tym!

Przez dłuższą chwilę Sarah Temple w milczeniu spoglądała na krępą postać szefa detektywistycznej trójki. Ale nawet w panującym wokół mroku można było dostrzec, że jej twarz pobiadła.

- No dobrze, rzeczywiście słyszałam waszą rozmowę przez telefon. Więc gdzie on jest? Ten dowód. Oddaj mi go!

- Powiniennem być się domyślić od razu - ciągnął coraz bardziej ironicznym tonem Jupiter. - To pani prowadziła tamtego wieczoru samochód pani stryja i tylko pani wiedziała o tym, że zostawił on tę monetę na siedzeniu. Ktoś zaglądnący z zewnątrz zobaczyłby co najwyżej niepozorne pudełeczko. Podsłuchując swym odbiornikiem rozmowy policjantów, dowiedziała się pani o wybijanych w całym mieście szybach. A to podsłuchiwanie musiało się stać pani prawdziwym hobby. No i skorzystała pani z szansy zagrabienia cennego orła i zwalania winy na wandala tłukącego szyby w samochodach. Podszyła się pani pod niego.

- Tak, mam tę monetę! - wykrzyknęła Sarah Temple. - Zabrałam ją, ponieważ potrzebowałam pieniędzy! A stryj daje mi za mało. Ale podzielę się z tobą! Dostaniesz pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Wystarczy, żebyś mi oddał ten dowód, a będziesz bogaty!

Z piersi Jupitera wyrwało się westchnienie.

- Zobaczyła nas pani na swojej ulicy, jak kręciliśmy się koło złotego rollsa. Zachowywaliśmy się trochę dziwnie. Zaniepokoiło to panią. Nie zawiadomiliśmy wprawdzie policji, ale zaczęła się pani denerwować. Chciała się pani dowiedzieć, czym my się właściwie zajmujemy. Tak więc zmieniła pani głos i złapała nasz trop poprzez agencję wypożyczającą samochody, a potem próbowała pani nas podsłuchać przy pomocy mikrofonu, ale to się nie udało. Kiedy więc poznała nas pani w dwa dni później i dowiedziała się, kim jesteśmy i co robimy, założyła pani telefoniczny podsłuch, żeby śledzić postępy naszego dochodzenia. Najważniejszym pani celem stało się zapobieżenie temu, aby złapano wandala od szyb, bo w ten sposób mogło się wydać, że to nie on ukradł podwójnego orła.

- No dobrze - powiedziała Sarah Temple. - Dzielimy się fifty-fifty! Jak tylko sprzedam złotego orła, dostaniesz sto dwadzieścia pięć tysięcy dolców!

Jupiter potrząsnął głową.

- Wie pani co? Gdyby nie zrobiła pani pewnego małego błędu, mogło się pani udać to złodziejstwo.

- Możesz być bogaty! Możesz mieć kupę forsy i kupić sobie wszystko, czego tylko zapragniesz!

- Nie, panno Temple - powiedział Jupiter. - Nie wszystko da się kupić.

- Oddaj mi ten dowód!

Rzekłszy to, rosła dziewczyna zrobiła krok w kierunku Pierwszego Detektywa. Jupiter uniósł lekko głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie ma żadnego dowodu - powiedział.

- Kłamiesz! - syknęła Sarah Temple. - Nie ma dowodu?

- To była tylko pułapka. Byłem pewien, że złodziejem mogą być tylko pani albo pani kuzyn Willard. Jesteście prawie tego samego wzrostu i wasze głosy nie różnią się zbyt od siebie. Najkrótszą drogą do upewnienia się, które z was to zrobiło, było stwierdzenie, kto podsłuchuje nasze rozmowy telefoniczne. Zdałem sobie sprawę z tego, że ktoś nas stale podsłuchuje, ponieważ dziś koło południa zrobiłem błąd dzwoniąc z naszego telefonu do komendanta Reynoldsa i ktoś ostrzegł wandalę tłukącego szyby.

- Nie ma dowodu? - powtórzyła kompletnie osłupiała Sarah Temple.

- Nie było, przynajmniej do tej chwili - stwierdził Jupiter.

- Och, ty...! - krzyknęła Sarah, chwytając za leżący koło imadła młotek, a potem uniosła go groźnie, robiąc kolejny krok w kierunku Jupitera. - Ty kłamczuchu! Ja ci...!

W tej samej chwili w mroku zamajaczyły wyskakujące z kryjówek wokół warsztatu postaci komendanta Reynoldsa i jego ludzi, a także Boba, Pete'a i Paula. Rosły Drugi Detektyw wyłonił się z nieco zawstydzoną miną spod stosu drewnianych belek, o które potknął się wcześniej, o mało nie płosząc "zwierzyny". Zbici wokół Jupitera i panny Temple policjanci rozstąpili się trochę, aby zrobić miejsce jeszcze jednej postaci, która powoli, podpierając się laską, podchodziła do dziewczyny wciąż trzymającej nad głową groźny młotek.

- Nie rób głupstw, moja panno. To na nic - powiedział spokojnym już, ale zasmuconym głosem Jarvis Temple. - Moja własna bratanica złodziejką! To moja wina. Zbyt łatwo ci życie, dogadzając wszystkim twoim zachciankom. Miałaś samochód, wszystkie te radia i elektroniczne cuda, mogłaś uprawiać wspinaczkę i jeździć na nartach. Dostawałaś ode mnie wszystko, co tylko chciałaś mieć. Zamiast tego powinienem był poświęcać ci więcej czasu i uwagi. No cóż, może nie jest jeszcze za późno. - Z piersi

starszego pana wyrwało się westchnienie.

Komendant Reynolds dał znak jednemu ze swoich ludzi, aby zabrał Sarah do samochodu. Ciemnowłosa dziewczyna rzuciła policjantowi gniewne spojrzenie, a potem wyrwała mu się i sięgnęła ręką do kieszeni.

- Jeżeli ja nie mogę jej mieć, nikt nie będzie jej miał! - krzyknęła ze złością, a potem zamachnęła się i rzuciła w ciemność niewielki przedmiot, który znalazł się w jej dłoni. Stojący obok niej policjant zdążył jednak chwycić ją za łokieć i tajemniczy drobiazg poszybował prosto w górę, a następnie przeleciał tuż obok Pete'a. Chłopiec wyciągnął rękę i złapał go w locie. Natychmiast otworzył dłoń, na której ukazała się okrągła złota moneta, lśniąca w całkowitych już teraz nocnych ciemnościach, niczym wypucowany na glans rolls-royce. Wszyscy z zapartym tchem utkwili w niej spojrzenia.

- Byłem prawie pewien, że złodziej będzie ją miał przy sobie - powiedział Jupiter. - Bardzo trudno bowiem sprzedać tak rzadką monetę bez wywołania pewnego rozgłosu.

Komendant Reynolds jeszcze raz skinął na policjanta, przytrzymującego Sarah Temple. Funkcjonariusz dotknął jej ramienia. Młoda przestępczyni podniosła na niego oczy, w których oszołomienie mieszało się z poczuciem klęski i całkowitej bezradności.

- To było tak łatwe, że nie mogłam oprzeć się pokusie - powiedziała. - Potrzebowałam tylu rzeczy. Zobaczyłam, że ten orzeł leży sobie w samochodzie. Ktoś w tym czasie wybijał szyby samochodowe w całym mieście... Wszystko wydawało mi się tak proste i łatwe...

ROZDZIAŁ 20

Pan Hitchcock rzuca wyzwanie

W parę dni później Jupiter, Pete i Bob wsiedli do szarej furgonetki, stojącej przed sklepem pana Jacobsa. Uszczęśliwiony tym, że znowu może siedzieć za kierownicą Paul wychylił się z szoferki.

- Więc nie masz nic przeciwko temu, żebym podrzucił chłopaków? - zawołał w stronę stojącego w drzwiach sklepu ojca.

- Możesz ich zawieźć, gdzie tylko chcesz. Muszę przecież zrekompensować ci jakoś ten brak zaufania w ostatnim czasie.

- Nie ma sprawy, tato. Tamto, to już historia. Rozumiem, że miałeś prawo tak myśleć.

- To się nie mieści w pale! - stwierdził pan Jacobs. - Facet na rowerze wybijający szyby w samochodach po to, aby zwiększyć sprzedaż szkła służącego do naprawy okien! Nigdy bym nie uwierzył w coś takiego! Ale wyście to udowodnili, chłopcy, i mogę powiedzieć, że jestem dumny z mojego Paula za jego udział w rozwiązaniu tej zagadki. A raczej zagadek, bo przecież nie można pominąć tej panienki, która ukryła się za plecami wandalą.

- Tak, rzeczywiście - zgodził się Jupiter. - Obie tajemnice nie miały tak naprawdę nic wspólnego, jeśli nie liczyć nadziei panny Temple na to, że winą za wszystko zostanie obciążony William Margon.

- Dzięki wam, chłopaki, jej nadzieje okazały się całkiem złudne - stwierdził z promiennym uśmiechem pan Jacobs.

Niedługo potem prowadzona przez Paula szara furgonetka mknęła już nadmorską autostradą. Przed dojechaniem do Malibu Pete powiedział kierowcy, aby skręcił w wąską drogę dojazdową, idącą Kanionem Cyprysów. Po paru minutach podskakiwania na wybojach furgonetka zatrzymała się przed dużym, białym domem z ciągnącym się pod okapem pasem neonowych reklam, które były świadectwem, że kiedyś mieściła się tu restauracja. Chłopcy wyskoczyli z samochodu i zadzwonili do drzwi.

Po jakimś czasie usłyszeli przybliżające się stukanie laski o podłogę. Drzwi otworzyły się i stanął w nich zażywny starszy pan o siwiejących skroniach. Był to pan Alfred Hitchcock, przyjaciel i doradca Trzech Detektywów. Pracował niegdyś jako prywatny detektyw, jednak po poważnym wypadku, w którym doznała szwanku jego prawa noga, zajął się pisaniem powieści i scenariuszy filmowych o tajemniczych i dziwnych historiach, a przede wszystkim

kręceniem filmów.

- Jak się macie, chłopaki - powiedział pan Hitchcock. - Proszę do środka.

Wprowadziwszy gości do przestronnego salonu, pan Hitchcock posadził ich przy ogrodowym stole, stojącym naprzeciwko kominka.

- A gdzie Don? - zapytał Jupe. Wietnamczyk Hoang Van Don, służący i kucharz słynnego reżysera i pisarza, wyręczał zwykle gospodarza w otwieraniu drzwi.

- Jest bardzo zajęty - odparł pan Hitchcock. - Przygotowuje się do upichcenia nam w kuchni jakichś specjalów. - Rzekłszy to, wyciągnął wolną rękę w kierunku tarasu, ciągnącego się wzdłuż frontowej przeszklonej ściany tarasu, wychodzącej na Pacyfik i biegnącą jego brzegiem autostradę. Na końcu tarasu, tuż koło bariery, siedział szczupły, młody mężczyzna w białej koszuli i czarnych spodniach. Jego nogi skrzyżowane były i podwinięte w pozycji kwiatu lotosu, zaś niewidzące oczy wpatrzone w pustą przestrzeń oceanu. Na jego twarzy malował się wyraz niczym nie złąconej pogody.

- Przygotowuje się do pichcenia czegoś tam? - zdziwił się Bob. - Wygląda tak, jakby oddawał się medytacji.

- Masz rację, Bob - przyznał pan Hitchcock. - Don zakochał się ostatnio w nowym programie telewizji kablowej, poświęconym żywieniu. Sam oglądałem to kilka razy i ochrzciłem nawet autora mianem "guru wybrednych smakoszy". Przed zabraniem się do gotowania zaleca się medytację. Twierdzi, że to rozjaśnia umysł i pozwala lepiej się skoncentrować. I ma całkowitą słuszość. Sam zacząłem praktykować medytację codziennie rano, przed włączeniem komputera, przy którym pracuję.

- Jestem pewien, że to pomaga - odezwał się Jupiter. - Ale jakiego rodzaju potrawy propaguje ten guru? - Przy ostatnim słowie Jupe wstrząsnął się lekko na wspomnienie egzotycznych "przysmaków", którymi Don poczęstował Trzech Detektywów podczas ich ostatniej wizyty.

- Nie wpadaj w panikę, Jupe - roześmiał się reżyser. - Ten telewizyjny guru uczy, jak przygotowywać słynne potrawy ze wszystkich stron świata. Poziom żywienia w tej okolicy natychmiast się poprawił, i to wydatnie. Ale powiedzcie mi czym prędzej, co wyście tam upichcili w ostatnim dochodzeniu. To, co usłyszałem przez telefon, rozbudziło we mnie naprawdę wilczy apetyt.

- Wszystko zaczęło się od Paula, który jest tu z nami - odparł Jupiter, a potem przedstawił nowego przyjaciela całej trójki. Tymczasem Bob wyciągnął z kieszeni notatki dotyczące śledztwa i oddał je przez stół panu Hitchcockowi.

Słynny reżyser wyprostował się w fotelu i zaczął je przeglądać. Wykorzystując chwilę

ciszy, chłopcy znowu przenieśli wzrok na Dona, który podniósł się w tym momencie i w nabożnym skupieniu ruszył wokół domu do kuchni. W chwilę potem doszły stamtąd odgłosy zamykania drzwi i pobrząkiwania naczyńiami.

Pan Hitchcock odłożył wreszcie notatki Boba i znowu zagłębił się w fotelu.

- Niesamowita historia. Gdybyście tego nie udowodnili, nigdy nie uwierzyłbym, że ten William Margon mógł wymyślić coś podobnego. Czy został za to ukarany?

- Tak - odparł Pete. - Jego ojciec zobowiązał się do zwrócenia kosztów wszystkim właścicielom samochodów, w których wybito szyby, a sędzia wyznaczył Williamowi okres próbny, który ma trwać dotąd, dopóki nie pokryje on strat ojcu. Został zdegradowany i przeniesiony do pracy na podwórzu jako robotnik fizyczny w firmie Margon Glass. Będzie mógł oczywiście awansować, ale dopiero wtedy, gdy sobie na to zasłuży. Na razie nie będzie go na pewno stać na jeżdżenie modnymi sportowymi wozami ani kupowanie kosztownych ubrań.

- To powinno czegoś go wreszcie nauczyć - stwierdził pan Hitchcock. - A co z tą panną Temple?

- Także ma przed sobą okres wyrzeczeń - powiedział Bob. - Na szczęście nie zdążyła jeszcze sprzedać podwójnego orła, toteż starszy pan Jarvis nie naciska zbyt mocno prokuratorów i sędziów. Odebrał jej jednak samochód, wszystkie nadajniki radiowe i cały osprzęt elektroniczny, dosłownie wszystko, co dostała od niego. A na dodatek wyrzucił ją ze swego domu.

- Z tego, co mi tu opowiadasz, wynika, że to spokojny, opanowany człowiek, a nie jakiś histeryczny nerwus, wpadający w złość przy byle okazji. Prawdopodobnie nie pomylił się, przypisując sobie przynajmniej część winy za jej wybryk i w ogóle za jej sposób zachowania.

- Z pewnością - potwierdził to spostrzeżenie Jupiter. - A tak naprawdę on wcale nie potraktował jej bezdusznie. O ile wiem, pomógł jej znaleźć pracę w rozgłośni radiowej, gdzie jej talenty zostaną w pełni docenione, będzie też nadal opłacał jej naukę w college'u na kursach elektronicznych.

- Domyślam się, że i ona, i William Margon mają przed sobą lata prawdziwych trudów - stwierdził pan Hitchcock. - I w istocie, nie można dojść do sukcesu drogą na skróty.

Nagle Jupiter zdał sobie sprawę, że salon wypełnia się powoli jakimś wspaniałym aromatem. Poczuł, że z ust cieknie mu ślinka i zaczął się zastanawiać, ile też czasu przyjdzie jeszcze czekać na przygotowywany przez Dona smakowity poczęstunek. Westchnąwszy w duchu, stwierdził nagle, że słyszy jak przez mgłę następne pytanie pana Hitchcocka,

skierowane wprost do niego.

- Słuchaj, Jupe, po tym bezpośrednim starciu z panną Temple powiedziałaś, że nawet po złapaniu Williama Margona mogła oddalić się ze swym łupem, gdyby nie popełniła jednego maleńkiego błędu. Co to był za błąd?

- Rozbiła niewłaściwą szybę - wyjaśnił Jupiter. - Kiedy tylko zdałem sobie z tego sprawę, byłem pewien, że chodzi tu o przestępstwo popełnione za cudzymi plecami. Pudełko z monetą leżało na siedzeniu pasażera, tak więc Sarah strzaskała przednią szybę po prawej stronie od chodnika. Rowerzysta natomiast, który strzelał do okien podczas jazdy środkiem jezdni, wybijał wyłącznie przednie szyby po lewej stronie, koło siedzenia kierowcy. Nie było sposobu, aby mógł roztrzaskać przednią szybę po prawej stronie, czyli od krawężnika, strzelając do niej z jezdni!

- Czyli ona popełniając przestępstwo schowała się wprawdzie za cudzymi plecami, ale tak, że trochę ją było widać - stwierdził pan Hitchcock. Nie czekał jednak, aż chłopcy skwitują jego żarcik wybuchem śmiechu, tylko pospieszył z kolejnym pytaniem: - Jeszcze jedno, Jupciu. Kiedy razem z Paulem dzwoniłście ze składnicy na policję, nie wiedzieliście jeszcze, że tym rowerzystą jest William Margon. Domyślaliście się tylko, że ten człowiek pracuje w Margon Glass Company. Więc w jaki sposób Sarah Temple, podsłuchując was przy pomocy swego urządzenia dowiedziała się, kogo ma ostrzec w tej firmie?

Nadludzkiem niemal wysiłkiem woli Jupiter oderwał się od płynących z kuchni pikantnych aromatów, aby udzielić sławnemu reżyserowi odpowiedzi na dręczące go wątpliwości.

- Nie wiedziała tego dokładnie. Po prostu zadzwoniła do Margon Glass i opisała wygląd rowerzysty osobie, która odebrała telefon. A ponieważ wszyscy w tej firmie wiedzieli o kolarskim hobby Williama, nie było żadnego problemu z ustaleniem, o kogo chodzi.

- Miała szczęście - powiedział pan Hitchcock - ale wam też go nie brakowało. Gdyby tam nie zadzwoniła, byłoby wam o wiele trudniej zidentyfikować Williama i przyskrzynić złodziejkę.

- Ale na pewno by się nam udało - oświadczył stanowczo Bob.

- Prawdopodobnie tak - zgodził się reżyser - Ale pozwólcie mi podzielić się z wami pewnym sekretem, który odkryłem jeszcze w czasach, gdy byłem prywatnym detektywem. Brzmi on tak: odrobina szczęścia może oszczędzić pokonywania bardzo długiej drogi. A przy ciężkiej pracy popartej właśnie odrobiną szczęścia, można rozwikłać każdą zagadkę kryminalną.

W tym momencie drzwi do kuchni, znajdujące się w drugim końcu salonu, otworzyły

się na oścież. Do środka wkroczył Don, niosący z dumną miną wyładowaną czymś tacę. Podeszedłszy do stołu, postawił na nim pięć małych, okrągłych cynowych talerzyków. W każdym z nich widać było pięć wytłoczonych w metalu zagłębień, w których znajdowały się jakieś muszelki. Obok każdego talerzyka położył tajemniczo wyglądające sztuce.

- Ślimaki! - oznajmił kłaniając się chłopcom. - Tradycyjny przysmak kuchni francuskiej. Ulubiona potrawa wszystkich smakoszów na całym globie!

Przerażeni chłopcy wytrzeszczyli oczy na Wietnamczyka. Na szczęście w tym momencie patrzył on na pana Hitchcocka, z przejęciem gratulującego mu wspaniałej uczy, a potem odwrócił się i z uśmiechem odszedł od kuchni.

Pan Hitchcock przeciągnął wzrokiem po twarzach chłopców i zachichotał.

- Nikt, kto nie docenia ślimaków, nie może uważać się za człowieka wyrafinowanego i bywałego - stwierdził z dobrotliwym uśmiechem.

- Och, czujemy się naprawdę zaszczytzeni - powiedział Jupe. - Ale co do mnie, to wcale nie jestem pewien, czy już mnie stać aż na tak wielkie wyrafinowanie.

- Nas też - poparli go chórem pozostali chłopcy.

- Och, przestańcie wydziwiać - powiedział słynny reżyser. - Każdemu, kto jest na tyle dzielny, aby przyłapać przestępcę, powinno też wystarczyć odwagi do spróbowania, jak smakuja ślimaki. Zaraz wam zademonstruję, jak trzeba się do nich zabrać.

Rzekłszy to, pan Hitchcock ujął lewą ręką, uzbrojoną w przyrząd przypominający kleszcze, pierwszą z muszelek, w drugą zaś wziął mały widelczyk z dwoma długimi zębami i zagłębił go w środku, a następnie wy dobył za jego pomocą szarawą, gumowatą kulkę, pokrytą topionym masłem i pietruszką, po czym uniósł ją do ust.

- Wyśmienite! - powiedział. - Kolej na was. Odwagi!

Przez dobrą minutę żaden z chłopców nie zrobił najmniejszego ruchu. Wreszcie Pete ostrożnie ujął dziwne przybory i zabrał się do pierwszego z pięciu ślimaków, czekających na talerzyku. Jego koledzy z zapartym tchem śledzili najpierw ruchy jego rąk, a potem dolnej szczęki.

- Ej, chłopaki! - powiedział po chwili Drugi Detektyw. - To wcale nie ciągnie się jak guma! Samo rozplywa się w ustach! A cały smak pochodzi od masła przyprawionego czosnkiem! Naprawdę doskonale!

Ociągając się, Trzej Detektywi przystąpili do degustacji, ale tak naprawdę wykwinne danie przypadło do gustu tylko Pete'owi. Tak więc on sam, z pomocą pana Hitchcocka, dokończył konsumpcji tego, co pozostało nietknięte na talerzach kolegów.

Po skończonej uczcie chłopcy posiedzieli jeszcze chwilę, a potem podziękowali i

skierowali się ku drzwiom.

- O rany! - powiedział Pete, kiedy cała czwórka znalazła się na dworze. - Gdyby tak dawało się łapać przestępców choćby codziennie. Tobo dopiero było życie!

- Jak w Madrycie! - dokończył śmiejąc się Jupe.